

Krystyna Modrzewska
CZAS PRZEDOSTATNI



PAMIĘCI ANNY I HELENY FRENKIEL

Opracowanie graficzne
Krystyna Modrzewska

Redaktor
Andrzej Zdunek

Fotografie ze zbiorów Autorki

Na okładce wykorzystano fotografię rzeźby Karola Millesa (1875–1955) z 1954 roku zatytułowanej „Ręka Boga” znajdującej się w tzw. Ogrodach Millesa na wyspie Lidingö w Sztokholmie, fot. Kurt Widell

© Copyright by Krystyna Modrzewska 1992

Wydawnictwo Izan • Lublin 1992
20-618 Lublin, ul. Nadbystrzycka 22
Dyrektor i Redaktor Naczelny: Izabella Wlazłowska

Wydanie I. Nakład 3000 egz.
Ark. wyd. 5,75 , Ark. druk. 4,75

Skład komputerowy „Mropol”
20-080 Lublin, Plac Litewski 2
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne
Lublin, ul. Unicka 4. Zam. 1632/92

...dziś jestem tylko kamieniem ciśniętym w odmet
wszechświata wszechwładnym ramieniem Boga.

Nie czuję i nie wiem.

1942

Mogłabym zejść w głąb historii, aby znaleźć ich ślady. Mogłabym może w archiwach akt dawnych, w zbiorach planów miast, wśród zapisków i sztychów ludzi tamtych czasów, odnaleźć ich dni powszednie, ulice, którymi wolno im było chodzić, bramy, poza które ich wyganiano. Mogłabym szukać dat zdarzeń, ich domniemanych, rzeczywistych lub pozornych przyczyn i przebiegu, gdyby nie to, że dane te mają znaczenie tylko drugorzędne i pośrednie. Dzieje ich drogi przez stulecia zakodowane są we mnie magią nieprzerwanie sprzęgających się związków chemicznych, zaszyfrowane w mozaice chromosomów. I nie to, co wiem o nich, lecz czym oni są we mnie, stało się rzeczą istotną.

Przetrwałam w nich niewolę egipską i babilońską, i seulecką. Przeszłam wszystkie drogi ucieczki, rozproszenia i wygnania, aż po moje własne. Przetrwałam w nich wszystkie kataklizmy, rzezie i pogromy różnych miejsc i czasów. Nie było mnie w tych, którzy padli w drodze, pod ciosami pałki, bata, kamienia lub żelaza, albo spłonęli ogniem. W tych byłam, co szli dalej. Stałam się ostatnim ogniwem ich nieśmiertelności.

Nie umarłam również w porze wielkiego umierania moich czasów. Nie dosięgnął mnie i nie rozerwał w strzępy żaden pocisk Września, ani nie spopielił jego ogień. Nie mnie zastrzelono w lesie krępieckim, ani dyskim, ani „na piaskach”, ani w „lisich jamach”, ani na środku jakiegokolwiek ulicy. Nie mnie naznaczono niewolniczym numerem i wprężnięto w kołowrót katorżniczej pracy. Moje płuca nie pękły w żadnej z komór gazowych wielkiego koncernu śmierci. Nie było mnie w ani jednym obłoczku dymu z krematoryjnych kominów i w ani jednej kostce przydziałowego mydła RJF.

Kamieniem toczyłam się przez czas nieludzki, niosąc dalej tę ich niebezpieczną, kruchą nieśmiertelność.

Strach przed śmiercią był mi złym doradcą, ale uwierzyłam mu, bo strach ten leżał głęboko u podstaw zwierzęcej natury człowieka. Strach kazał żyć, gdy umierano wokół mnie, pozwolił patrzeć na idących ku zagładzie i nie dołączyć do ich pochodu. Pozwolił wiedzieć o

losie zgotowanym ludziom przez ludzi, widzieć jego dopełnianie się, dzień po dniu, rok za rokiem, z bliska bez zmrużenia powiek.

Strach wyłączył wszelkie normy moralności powszedniej, wszelkie myślenie logiczne, wszystkie szlaki kojarzeniowe kory mózgowej. Paraliżował je samouruchomionym mechanizmem najpierwotniejszych instynktów.

Przeżyłam więc czas, którego nie wolno było przeżyć i dlatego nie przysługiwało mi żadne prawo, bodaj do zdziwienia, kiedy w dwadzieścia pięć lat później inny czas nieludzki stanął w poprzek mojej drogi. Jeśli nawet myślenie takie może wydać się całkowicie irracjonalne, to tak właśnie, a nie inaczej, musiałam myśleć, schwyтана w potrzask zdarzeń uruchomionych w marcu 1968 roku.

Rozpętane moce porachunków zbiorowych i osobistych postawiły mnie przed kolejnymi instancjami nowej Inkwizycji. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu przesłuchiowano mnie i innych, którzy winom moim, poczynaniom i przestępstwom dać mieli wystarczające świadectwo. Nie zakuto mnie w kajdany, ani nie postawiono, przynajmniej w dosłownym sensie, pod słupem pręgierza. Nie torturowano mnie żelazem ani ogniem, ani innym z tysięcy sposobów, które wymyśliła cywilizacja ludzka. Niszczono mnie regularnie, systematycznie, odzierając stopniowo ze wszystkich złudzeń i ze wszelkiej nadziei.

Możliwość dalszego życia w tym miejscu, które uważało się za własne, wśród ludzi, których przyjaźń czy bodaj tylko życzliwość, okazywała się pomyłką, a obojętność – jedyną rzeczywistością, przestawała być realna. Wszystkie znane miejsca stały się obce i wrogie. Złe zdarzenia i złe słowa atakowały ze wszystkich stron, krzyczały głosami obcych ludzi, wdzierały się przez okienko telewizora, sączyły jadem powszednim, ferowały nade mną swoje straszne wyroki.

Tak więc powrócił do mnie mój własny czas nieludzki. Było tak: należało umrzeć albo zniknąć. Zapaść się w ziemię cmentarną, albo w jakiegokolwiek inne nieistnienie.

*

Robiłam wiele rzeczy mniej lub więcej zbytecznych albo zgoła nonsensownych, aby uniknąć tej jednej, którą powinnam była zrobić. Wynajdywałam różne błahe czynności, różne argumenty, które by je uzasadniały i okazje sprzyjające ich wykonaniu. Chodziłam po mieszkaniu pełnym martwych przedmiotów i umarłych spraw, całkowicie poddana ich władzy, ich milczącemu hipnotycznemu oddziaływaniu. Przesuwałam meble z miejsca na miejsce, z pokoju do pokoju, w naiwnej i nikłej zresztą nadziei, że zmiana konfiguracji pomieszczeń, zarysów plam na ścianach, wpłynie w jakiś zasadniczy sposób na podkładającą

się pod nie treść. Zdejmowałam ze ścian obrazy, opróżniałam półki szaf bibliotecznych, aby zmienić ich położenie, zakłócić ustalony porządek wokół mnie. Nie znajdowałam jednak dość cierpliwości, energii ani siły, aby te zmiany przeprowadzić całkowicie i aż do końca.

Na przybrudzonych ścianach pozostawały jaśniejsze prostokąty i swoją, pełną obsesyjnego znaczenia pustką wydawały się szydzić z moich usiłowań. Na podłodze piętrzyły się bezładnie stosy książek brutalnie pozbawionych własnego miejsca, zniepotrzebniałych, zszarzałych nagle i żalonych. Podobnie szmatławieją ludzie wydarci w jednej godzinie ze swoich miejsc własnych. Wiedziałam o tym. Pamiętałam ludzi koczujących wzdłuż szos we wrześniu 1939 i wyganianych, wywożonych, uchodzących w różnych późniejszych porach czasu wojny. Podnosiłam czasem tę lub ową książkę, przerzucałam znajome stronicę, daremnie próbowałam odnaleźć, bodaj na chwilę, smak ich dawniejszego czytania i odkładałam je znów w jakimkolwiek, równie przypadkowym i niewłaściwym miejscu.

Odwiedzałam znajomych po to, aby nie być w domu, aby patrzeć na obce, nic nie znaczące przedmioty i mówić o rzeczach całkowicie przypadkowych i obojętnych. Przychodziłam, aby pozostać wśród nich jak najdłużej, w jak największym od samej siebie oddaleniu, w jakimś jednak momencie ogarniało mnie nagle uczucie skrajnego znużenia, niepokoju i jednocześnie pragnienie opuszczenia tego cudzego miejsca. Nerwowo popatrywałam na zegarek, udawałam, że się dokądś spieszę, że się nawet już spóźniłam. Żegnałam się w pośpiechu i wybiegałam na ulicę, aby coraz powolniejszymi krokami wlec się w stronę domu, gdzie z każdego kąta wyzierało nieszczęście.

Postanowiłam wyjechać z miasta bodaj na kilka dni, pozostawić poza sobą, poza zatrzaśniętymi drzwiami mieszkania to wszystko, co stanowiło wówczas moją, niemożliwą do zaakceptowania ani zrozumienia, rzeczywistość. Zawiadomiłam znajomych o dacie mojego przyjazdu, kupiłam bilet kolejowy, spakowałam walizkę, ale nie pojechałam nigdzie. Owego poranka, przyglądając się obojętnie wskazówkom budzika, nie odnajdywałam już w sobie gotowości wyruszenia w drogę.

Kupowałam gazety i nie czytałam ich. Parzyłam kawę i pozostawiałam ją nie wypitą. Robiłam to wszystko po to – i wiedziałam o tym – aby stworzyć z tych czynności, zabiegów, zamierzeń, barierę pomiędzy tą jedną imperatywną natarczywą myślą a jej urzeczywistnieniem, jednocześnie zaś treść, byle jaką, która by zdołała jak najszczelniej zappełnić czas mojego czekania. Na co czekałam? Na siłę w sobie, na tę ostateczną chwilę, na jeden decydujący gest, co do którego nie miałam przecież najmniejszych wątpliwości, iż

byłby gestem jedyne­go możliwego wyjścia, wyzwolenia z sytuacji, w jakiej się znalazłam z własnej i niewłasnej winy.

Usiłowałam wzbudzić w sobie pogardę dla własnej słabości. Rzuciałam ją w twarz swojemu odbiciu w lustrze. Powtarzałam sobie, że nawet Judasz Iskariota, przekupień krwi ludzkiej, zdrajca wielkiej Miłości, nawet on znalazł w sobie dość godności i siły, aby zacisnąć pętlę na własnej szyi.

W obliczu klęski i niesławy umieli wybrać śmierć wodzowie ginących armii i kapitanowie tonących okrętów, w różnych czasach. Mali oficerowie nieznanych garnizonów, rwący się do życia wszystkimi siłami swojej młodości, potrafili, gdy kodeks honorowy tego wymagał, zdobyć się na tę rzecz, jak okazuje się niełatwą i niebłahą, na ten gest nad gestami, którym przykłada się lufę pistoletu do własnej skroni. Szwaczusie i modystki ubiegłego stulecia, blednicze dziewczęta porzucone przez kochanków, bezimienne i żalosne, zdobywały się na to bohaterstwo nigdzie nie opiewane i przebijały swoje roztrzepotane serduszka stalowymi szpilami od modnych kapeluszy.

Zdobywali się na ten gest śmierci ludzie od wszelkiego honoru odsądzeni, wielcy i mali bankruci, aferzyści, szulerzy z za zielonych stolików, pospoliccy przestępcy, nawet niektórzy zbrodniarze przeciwko ludzkości, odrażające bestie w ludzkiej postaci, jak Göring, jak Goebbels, jak Ilse Koch. Zdobywali się nań ludzie toczeni powolną chorobą, opętani cierpieniem, przerażeni rzeczywistością. Nie znajdowałam w sobie ich siły.

Wiedziałam, że we wszystkich takich gestach zwykło się dopatrywać tchórzostwa, albo ucieczki przed odpowiedzialnością, albo po prostu – psychopatii. Nic bardziej błędnego! Ostatnie miesiące mojego życia utwierdziły mnie w przekonaniu, że ci, którzy wdrapują się na parapety okienne czy szczyty dachów, aby rzucić sobą o bruk ulicy, ci, którzy upewniwszy się o nierozwiązywalności pętli, krótkim kopnięciem wytrącają sobie krzesło spod nóg, ci, którzy w ciszy wieczornej tabletkę po tabletkę popijają wystygłą herbatą albo resztkami wina, ani ci, którzy czekają dudnienia nadjeżdżającego na nich pociągu – nie są tchórzami. Zazdrościłam im. Fascynowało mnie ich bohaterstwo bez blasku, ich zwycięstwo nad sobą, nad każdym pragnieniem czy nadzieją, nad każdym nerwem własnego ciała. Nie znajdowałam w sobie ich siły.

*

Odrywałam się długo, powoli i boleśnie. 248 dni i nocy pomiędzy nimi było odrywania się od wszystkiego, co składało się na moje dotychczasowe życie. Odrywałam się od wszystkich nadziei i zamiarów, planów i oczekiwań, od miejsc, ludzi i spraw, od każdej

rzeczy martwej i każdego żywego słowa. Był to proces z niczym nieporównywalny, bo nie ma wiedzy o cierpieniu człowieka, ani we współczesnej sztuce lekarskiej zabiegów tak długo- i wieloczasowych, które dokonywałyby się bez głębokiego znieczulenia.

Dopóki cierpienie burzyło się jeszcze, a potem tężało i ścinało się we mnie na podobieństwo skrzepu krwi i wypełniało mnie coraz szczelniej, jeszcze coś o sobie i dopełniającym się losie wiedziałam. Kiedy ten skrzep bólu, dezorientacji i bezsily stwardniał we mnie w bryłę kamienną, niczego już poza nią nie było. Kamieniem potoczyłam się przez kolejne stacje drogi uchodźstwa.

Z kartonikiem kupionym za cenę pięciu tysięcy złotych i utraty honoru opuściłam pokład promu „Gryf” w obcym porcie, który nazywa się Ystad. Za moimi plecami pozostało Morze Bałtyckie i wszystko. Miałam dwie walizki i życie, z którym nie wiadomo co począć.

Z portu ktoś zaprowadził mnie długą drogą, błędząc, bo sam był tu dopiero od kilku dni, do baraków na skraju miasteczka. Ktoś wskazał mi pokój w jednym z nich. Ktoś inny zaprowadził mnie później do miejsca, gdzie takim jak ja dawano trzy razy dziennie darmowe obfite posiłki. Wieczorem przyszedł policjant szwedzki, aby przy współudziale ukraińskiego tłumacza spisać moje personalia i pierwsze pobieżne przesłuchanie. Wręczył mi też przewidziane najwidoczniej „kieszonkowe” – 36 koron szwedzkich, pierwszą jałmużnę na obcej ziemi.

Stałam się kolejnym numerem, jeszcze jedną pozycją w rejestrze bezpaństwowych uchodźców, nową teczką na półce Urzędu Migracyjnego, sprawą do załatwienia w szufladzie czyjegoś biurka.

Poszczególne, coraz liczniejsze i bardziej zróżnicowane elementy składające się na nową formę istnienia, w innym substracie, nie mieściły się w możliwościach ich natychmiastowego zrozumienia. Nie wymagały tego zresztą. Rzeczy dotyczące mnie działały się ze mną wprawdzie, ale nie za moją sprawą. Nie tylko nie mogłam, ale nie musiałam niczego rozumieć, o niczym decydować, zgadzać się lub przeciwdziałać czemukolwiek. Marzenia następowały po sobie, brały mnie w swoje posiadanie i przekazywały dalej.

Wbrew wszelkiej logice wynikającej z sytuacji, w jakiej się znalazłam, pierwsze dni w Ystad przyniosły mi uczucie ogromnego odprężenia. Owładnęło mną nagle poczucie bezpieczeństwa. Pewność, że rozpoczynający się dzień nie przyniesie wezwania do tego lub innego pokoju w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej, gdzie trzeba będzie przez długie godziny odpowiadać na najdziwniejsze pytania w nie dających się przewidzieć sprawach, wysłuchiwać oskarżeń i insynuacji wyrosłych z gleby nagromadzonych donosów. Pewność, iż nikt z moich współpracowników, kolegów ani znajomych nie będzie

indagowany, ani nakłaniany do potwierdzenia treści tych donosów, albo wzbogacenia ich obfitszą, bardziej soczystą substancją. Pewność, że o żadnej porze dnia nie zadzwięczy dzwonek u drzwi, oznaczający niespodziewane odwiedziny panów z nakazem rewizji.

Nie ma drzwi, mieszkania ani adresu, ale jest spokój. Beztroskość nastroju wzmagała dodatkowo niespodziewana swojskość otaczającego krajobrazu. Koloryt morza, lasu, wydm, piasku plaży, identyczny z dobrze znanym, głęboko zapadłym w pamięć kolorytem Półwyspu Helskiego, stwarzał pozory wczasów, wakacji letnich, z których będzie można powrócić do domu. Chwilami zapominało się, że nie ma domu, ani powrotu.

Inność i absolutna obcość otoczenia, zarówno tego barakowego i obozowego, jak i dalszego, ledwo zauważalnego poza stale zamkniętymi oknami uroczych, tonących w zieleni i kwiatach domów, w tym początkowym okresie słabo jeszcze do mnie docierały. Dotarły dopiero później.

W dzień po przybyciu, po śniadaniu, przydzielono nowo przybyłych do pięcioosobowych grup, które pod kierunkiem młodych, hoźych, bardzo jasnowłosych dziewcząt pobierać miały początki nauki języka szwedzkiego. Nie wiem, czy dziewczęta te były przedszkolankami czy początkującymi nauczycielkami szkół specjalnych, studentkami na letniej praktyce czy zwykłymi sobie ładnymi dziewczynami. Były chłodno, bezosobowo uprzejme i odnosiły się do nas z dużą pobłażliwością, jak to do dzieci słabo umysłowo rozwiniętych. Nie rozumieliśmy przecież tego, co się do nas mówi. Nieporadnie sylabizowaliśmy obce słowa. Nie umieliśmy ich poprawnie powtórzyć. Każdemu z nas wydawało się, że tych obcych dźwięków, ich związków i znaczeń nie nauczy się nigdy. Dźwięki tego języka, na przemian szeleszczące, to znów mlaskające: *syssla-vissla-pyssla* albo *mumla-fumla-blunda*, wydawały się nam jakimś afrykańskim narzeczem, które nas przerażało.

Za każdy dzień szkolny, czyli roboczy, płacono nam po osiem koron, natomiast za dni świąteczne tylko „kieszonkowe”, po trzy korony. Był to rodzaj jałmużny w specjalnym opakowaniu. Z wysokości tych stawek wywnioskowałam, że trzy korony powinny w pełni pokrywać wydatki dzienne i utrzymywałam je w tych granicach. Tym samym moje oszczędności tygodniowe osiągały, poważną w tym czasie i moich warunkach, kwotę 25 koron. Wynikało to nie tyle z nawyku oszczędzania, co z niepewności własnego losu, jego najbliższej przyszłości. Niepewność, którą dzieliłam z wielu innymi: czy ten kraj, który z zupełnego przypadku stał się pierwszą stacją naszego wygnania, ma pozostać również ostatnią, czy tylko etapem w drodze ku niepewnym miejscom i możliwościom dalszego życia?

Pozostanie w tym kraju, który nas przyjął, otoczył opieką, żywił i uczył swojego języka, a jednocześnie mroził i obezwładniał swoją obcością coraz częściej wydawało się niemożliwe. Natrafialiśmy na automatyczną jak gdyby, nawykową uprzejmość i powszechną grzeczność tubylców, ale dotyczyła ona wyłącznie pracowników obozu, funkcjonariuszy policji, opieki społecznej czy poczty. Z miejscową ludnością nie mieliśmy żadnej styczności, ale raz po raz dochodziły nas wiadomości o jej niechęci do cudzoziemców. Dowiedzieliśmy się, iż powszechnie uważano, że obecność i napływ uchodźców obciąża ludność zwiększonymi podatkami i stanowi zagrożenie na rynku pracy i konkurencję na rynku mieszkaniowym. Rynek pracy? Nikt z nas nie miał przecież pojęcia, do czego się tu nada, co będzie robić, czy raczej co z nim zrobią, skoro się już wystarczająco zapozna z ich językiem, względnie, co wydawało się również możliwe, nie zdoła się z nim zapoznać na tyle, aby żyć inaczej niż na „łaskawym chlebie”?!

Ten i ów, przyznając się do tego albo nie, rozsyłał w świat listy do krewnych lub znajomych, pytał o możliwości dalszego życia w innej szerokości geograficznej, wyczekiwał odpowiedzi, zaproszenia, nadziei wyruszenia w drogę. Ja również napisałam list do jednego ze znanych profesorów polskich na uniwersytecie w Montrealu. Odpowiedział niemal odwrotną pocztą, zapewniając, że nie miałabym trudności w znalezieniu odpowiedniego stanowiska, ale należy liczyć się z „ciężkim” przynajmniej pierwszym półroczem. Nie wiedziałam, ile ciężkich lat czeka mnie w Szwecji, nie obawiałam się kanadyjskich trudności, ale... skąd wziąć na podróż? Tu już moje rygory oszczędnościowe nie mogły wystarczyć. Mogłabym z pewnością, choć wtedy nie przychodziło mi to na myśl, pożyczyć na podróż od kuzyna w Cleveland, ale z jednej strony on proponował mi przyjazd do Stanów Zjednoczonych, na co nie miałam najmniejszej ochoty, z drugiej zaś nie mogłam zaciągać długów, nie mając żadnej pewności, czy i kiedy będę mogła je spłacić. Pewne nadzieje wiązałam jeszcze z rodziną w Genewie i z przyjaciółmi na uniwersytecie w Bolonii, ale były to nadzieje bardzo nikłe i wymagały wielu tygodni i miesięcy oszczędzania...

Do przyjmowania jałmużny w rozmaitych jej postaciach należało przyzwyczaić się od chwili wylądowania na Półwyspie. Tak więc po kilku dniach pobytu zaprowadzono mnie, podobnie jak wszystkich innych wcześniej i później proszących o azyl na ziemi szwedzkiej, do jednego z domów towarowych Ystad, gdzie kupiono mi, przy moim minimalnym udziale, jedną zmianę bielizny, suknię, płaszcz i pantofle. Podobno był to osobisty dar króla Gustawa Adolfa VI dla każdego uchodźcy z Polski. Tak przynajmniej mówiono w obozie.

Włożyłam na nogi podarowane pantofle i chodziłam w nich do końca tego dnia, bardzo ostrożnie, prawie tak jak kiedyś, w dzieciństwie, w nowych trepkach „od pana Raczka”

(Nowy Świat 1), a następnego dnia wysłałam wraz z suknią w paczce do Polski. Paczki wysyłałiśmy wszyscy, stwarzając sobie w ten sposób złudzenie łączności z krajem, z kimś tam pozostawionym, nawet jeśli ta osoba niczego od nadawcy nie oczekiwała, albo nawet zrezygnowała z dalszego wspólnego losu.

W przerwach między godzinami lekcyjnymi siadywałam na jednej z ławek ustawionych powyżej plaży. Były pomalowane na przemian na kolor czerwony i żółty i przymykając oczy, pamiętając, że są to barwy Watykanu, wyobrażałam sobie, że jestem zupełnie gdzie indziej...

Świat stał się podzielony na dwie nierówne, w żadnych do siebie proporcjach, ani w żadnym związku nie pozostające części. Były pomiędzy nimi tylko moje niedomknięte powieki i oczy, widzące wszystko, co t a m, nie rozróżniające niczego, co tu.

Nie pamiętam, czy zauważyłam to sama, czy ktoś zwrócił mi uwagę na usytuowanie baraków pomiędzy cmentarzyskiem samochodów i składnicą wszelkiego złomu a miejscowym cmentarzem. Moje miejsce na ziemi.

Potem kolejne obozy, kolejne baraki, pakowanie i rozpakowywanie walizek, pokoje szkolne, zmieniający się nauczyciele języka, różne okienka do kuchni, kolejne jałmużny. W ostatnim okresie w postaci stypendium w wysokości 650 koron miesięcznie, co było rzeczywiście poważną sumą i przybliżało nadzieje oszczędzenia na bilet, na drogę w poszukiwaniu jakiegoś dla siebie miejsca na kontynencie...

Początkowe uczucie wakacyjnej tymczasowości zniknęło całkowicie w obcym krajobrazie, w oddaleniu o setki kilometrów od wybrzeża i portu, do którego cowieczorne wyczekiwane przybijanie „Gryfa” stwarzało złudne pozory jakiejś łączności z ziemią utraconą. Nie można też było dłużej odsuwać od siebie prawdy, iż otaczający ludzie, ci z tych samych baraków, z za tego samego stołu w jadalni, z tej samej grupy, bardziej już zaawansowanej, intensywnej nauki języka szwedzkiego, nie są przypadkowymi i niedobranymi współtowarzyszami wczasów, z którymi możemy lub nie zamienić jakieś zdawkowe zdanie podczas posiłków, ale współtowarzyszami losu i stanowią jedyną rzeczywistą społeczność ludzką, do której należę.

Moja przynależność społeczna zawężyła się więc ostatecznie do kilkusobowej grupy, z którą spędzam pół dnia w lokalu szkolnym, a następnie spotykam się w pentrze baraku, którą dzielę, podobnie jak dwa prysznice, z jego pozostałymi jedenastoma lokatorami. Ta przynależność grupowa staje się coraz bardziej niepokojąca i skłaniająca do refleksji. Bo oto znalazłam się w jednej ławce, chciałoby się powiedzieć – na jednym wózku, z niedawnymi „współwłaścicielami” Polski Ludowej, wypędkami partii wszechwładnie rządzącej, smętnymi pogrobowcami Stalina.

W „klasie”, po mojej prawej stronie, siedział nad szwedzką gramatyką, złej sławy były dygnitarz „bezpieki”, stary gnóm o odrażającej powierzchowności, odpowiedzialny za ileś tam wyroków długoletniego więzienia i śmierci, teraz uniżenie prezentujący się naszym tutejszym opiekunom jako skromniutki nauczyciel muzyki... Gnóm uzupełniony jest młodą żoną, przeciętnie przystojną i nieprzeciętnie arogancką, którą przedstawia jako... krytyka literackiego, co pobudza niektórych z nas do ponurej wesołości, gdyż dama ta przypuszczalnie zajmowała się zawodowo lekturą donosów w znanym domostwie przy ulicy Rakowieckiej.

Od lewej strony zwykł zaglądać mi przez ramię nieruchawy, opasły osobnik w średnim wieku, politruk („kulturalno-oświatowy”) z Katowic, które jeszcze czasem nazywa Stalinogrodem. Nigdy nie ma odrobionych lekcji i codziennie przymila się oślizgłe, aby mu pozwolić „odpisać”.

Po przeciwnej stronie stołu zasiadają dwie, obie zresztą dość sympatyczne, eks-dyrektorskie córki, niedoszłe czy też były studentki, które rodzice (eks-dyrektorostwo w Dzierżonowie i eks-dyrektorostwo w Białymstoku) przezornie wcześniej wysłali z kraju, sami likwidując tymczasem swoje tamtejsze sprawy.

Naszą grupę uzupełnia dodatkowo, nieregularnie uczestniczący w jej zajęciach, zastanawiająco słabo piśmienny osobnik, deklarujący swoją „akademickość” (kurs jest przeznaczony dla osób z akademickim wykształceniem) jako absolwent szkoły partyjnej. Szwedzi nie orientują się całkowicie w randze tej *Alma Mater*.

Poza tą grupą, wokół niej i mnie, mrowią się byli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, od „panów pułkowników” i majorów, od czasu do czasu jeszcze się wzajemnie tytułujących, do małych figurek służebnych. Mrowią się eks-naczelnicy, eks-redaktorzy, eks-dyrektorzy, zastąpieni teraz przez swoich niedawnych kompanów, towarzyszy, współników, nie mniej ciemniackich i skorumpowanych od nich samych. Mrowią się, wysoko ceniący się magistry – ekonomiści i filozofowie – z najzupełniej nieprawdopodobnych zdarzeń, którzy dla sprawy karierowej wspinaczki porzucili kiedyś swoje robocze kombinezony i fufajki, albo i ucziwie wyuczone rzemiosła, aby usatysfakcjonować się fikcją „studiów” mniej lub więcej, lub całkowicie zaocznych...

– To przez takich właśnie znaleźliśmy się tutaj – mówi starszy pan, farmaceuta z Warszawy, i dodaje:

– Jedyne satysfakcja to ta, że nasi wrogowie cierpią z nami... – co stanowi aluzję do trudności językowych i niepewności dalszych losów.

Wielu z nas myśli podobnie. Z niechęcią patrzy się na byłych „prominentów”, nierzadko puszcza się w ich stronę drobne złośliwości i aluzje, których wydają się nie zauważać.

Wielu z nas zadaje sobie w skrytości ducha dręczące pytania:

- Co ja zrobiłam? Jak mogłam?
- Jak mogliśmy?
- Co robić? Co zrobić?!

Później zaczniemy zadawać je sobie wzajemnie, w niekończących się wieczornych rozmowach:

- Jak mogliśmy?
- Jak mogło stać się coś podobnego?
- Jak można było zdecydować się?...
- Co dalej?

Niektórzy usiłują znaleźć bezpośrednich sprawców swego wygnańczego losu. Winnych. Ktoś opowiada każdemu, kto zechce go słuchać, że to była żona tak go urządziła:

- Wszystkiego jej było mało...

Słyszy się o tow. Z., który tylko wyglądał okazji, żeby się zemścić, o tow. X., który tylko na to czekał, aby wleźć na „stołek”, o żonie, która zażądała rozwodu jak tylko „to się zaczęło”... Słyszy się zdania powtarzane raz po raz, z różnym ładunkiem emocjonalnym, z żalem, z niedowierzaniem, z gniewem, z rozpaczą:

- O dalszej pracy w ogóle nie było już mowy...
- Przedwczesna emerytura? Mnie? Mnie na emeryturę?
- Koledzy przestali się do mnie odzywać. Czy możecie to zrozumieć? Przestali mnie spostrzegać?!

– Wywalili mi syna z uczelni.
– Profesor zaczął szykanować mnie na każdym kroku... Nastrój w klinice stawał się z każdym dniem trudniejszy do zniesienia.

- Matka uparła się, żebym wyjechał... Jak mogłem?
- Uciekłem, po prostu uciekłem...

Ja także mam swoich winnych. Myślę o nich z goryczą, bo o nikim, ani o niczym nie potrafię już myśleć inaczej. Myślę o wszystkich „bohaterach” mojego własnego, mało ważnego eposu, o wszystkich uczestnikach nagonki na mnie, jej postaciach wiodących, współdziałających i zwykłych marionetkach. A także o tych obojętnych, na których oczach, przy których biernym udziale dokonywały się moje złe losy. W moim sercu wszyscy oni byli współwinni. Margines pozostawiany własnym winom w tej totalnej katastrofie, która mnie

wchłonęła, a teraz z każdym dniem jak gdyby wsysała coraz głębiej i bez ratunku w trzęsawisko dezorientacji i rozpacz, był jeszcze wtedy bardzo wężutki. Dopiero później...

Rzeczywistość była prosta: nastroje marca 1968 roku, czas szczególnie sprzyjający wszelkim porachunkom osobistym, wymiotły z kraju, razem z żydowskimi szumowinami skorumpowanego ustroju, wiele tysięcy Polaków żydowskiego pochodzenia, spychając ich na drogę nowego wygnania. Mogłam sobie powiedzieć, że to przecież w historii nic nowego, że to już było w tysiącnych wersjach, miejscach i porach. Mogłabym sobie przypomnieć, że zanim członkowie moje własnej rodziny trafili jesienią 1613 roku na ziemię Korony, wypędzani byli z wielu miejsc, uchodzili wiele razy i żyli, z pokolenia na pokolenie, z tą właśnie rzeczywistością.

Wieczorami, w pokoju przylegającym do pentry, dzieliliśmy się naszymi, stale narastającymi wątpliwościami, obawami, naszym przerażeniem. Niektórzy zaczęli już głośno stawiać pytania, które dotychczas każdy z nas tłumił w sobie:

- Czy pozwoliliby nam wrócić?...
- Jak sędzicie? Czy pozwoliliby?

Ktoś pojechał do Konsulatu Generalnego PRL. Ktoś już wysłał podanie, na które nigdy nie otrzyma odpowiedzi. Ktoś „zaczął starania”... Ktoś inny jeszcze czeka na czyjąś „pewną” interwencję u samego „szefa”, niezupełnie jasne kogo mając przy tym na myśli. Dla kogoś może rzeczywiście istnieje jakaś szansa, jakaś możliwość powrotu. Ja nie mam do czego wracać.

Z mijaniem czasu nawet ci niedawni pułkownicy i eks-dygnitarze zaczynają się niepokoić.

- Czy dostaniemy jakąś pracę? Gdzie? Przy czym?...

Wydają się przeczuwać nadciągające widmo pracy fizycznej byle jakiej, a może i to nie, może żadnej – dalsze bytowania podopiecznych szwedzkiej Opieki Społecznej? Ile też byłoby takiego zasiłku?... Co myślą z nami zrobić?

Dzieli się pomiędzy sobą wiadomościami o utworzeniu przez Urząd Pracy jakichś zatrudnień zastępczych, na wpół fikcyjnych, pod nazwą *arkivarbetare* – rodzaj archiwisty do różnych prac zleconych.

- Co też to może być?

Ich niepokój pogłębiają nasilające się utyskiwania żon. Żony są, jak wiadomo, różne, ale posiadają tę wspólną cechę, czy może raczej skłonność do chętnego obciążania mężów całym brzemieniem odpowiedzialności za losy rodziny.

– Nie musieliśmy wyjeżdżać... To ty... – słyszy się raz po raz. Żydowskie żony dzielą na ogół z rezygnacją niepokój mężów:

– Coś muszą z nami przecież zrobić...

Niektóre z polskich żon żydowskich mężów, tych niedawnych dyrektorów i ważniaków, zaczynają przypominać sobie dawne wahania i otrzymanywane przestrogi przed popełnieniem takiego „mezaliansu”... Źle czują się w tak brutalnie odmienionym losie.

– Co ty tu będziesz robić? Nie masz żadnego zawodu...

Zaczynają tęsknić za pozostałą w kraju rodziną. Zaczynają zastanawiać się nad możliwościami uniknięcia dalszej wygnańczej drogi. Może to i pora opuścić ten „tonący statek”? Sprawa lojalności albo sprawa decyzji. Te przewidujące i bardziej zdecydowane w ogóle w tę drogę nie wyruszyły.

Najgłośniejszymi wyrzekają eks-krasawice, żony importowane ze Związku Rad, szlakiem wojny, na polski dobrobyt i mężowskie apanaże. Zadręczają mężów nie kończącymi się wymówkami. Największych trudności dostarcza im nauka obcego języka. Czytać potrafią przeważnie tylko „bukwy” cyrylicy i ta nagła masa obcych znaków, znaczeń i brzmień doprowadza je do wybuchów rozpaczki lub hysterii. Jak spłoszone kury zbijają się w małe grupki. Podzwaniają długie kolczyki, chwieją się tlenione loki:

– *Wot, popało nam sia...*

– *Wot, nieszczęście... uczytsia nada...*

Już to lepiej by do „Polszy” wracać...

Mężowie milczą. Wiedzą, że nie ma jak, ani po co, ani do czego wracać. Przyglądamy się im bez współczucia, bez cienia sympatii, ale i bez nadmiernej złośliwości, bo przecież ostatecznie łączy nas ten wspólny „wózek”...

Pod koniec 1970 roku uchodźcy z Polski coraz rzadziej trafiali do naszego obozu. Przyjmowali początkowo pozycje nonszalancko-obronne wobec nastrojów obozowych. Czy to dla umocnienia własnego samopoczucia, czy dla zaimponowania niepokojącym się i przygnębionym obozowiczom, stale w wahadłowym ruchu pomiędzy desperacją a rezygnacją, z rozległą skalą nastrojów i reakcji pośrednich, rozpowiadali o swoich możliwościach i perspektywach „urządzenia się”. Słyszało się wypowiedzi:

– Ja, w moim zawodzie, nie muszę się martwić...

– Bardzo im się tu przydam, byle ten język...

– Zamieszkamy w Malmö. Z naszymi kwalifikacjami można stawiać żądania.

– Mam taką specjalność...

Pewien (podobno) inżynier z Krakowa chwalił się nam, że ma aż siedem „chwytliwych” specjalności. Inni znów rośli zawodowo z dnia na dzień, nie wiadomo, czy sobie czy innym na pokaz. Osobnik, który w dniu przyjazdu łamiącym się głosem prezentował się jako magazynier jakichś zakładów metalurgicznych w Gdańsku, w dwa dni później przedstawiał się jako mechanik, a po tygodniu podawał w Urzędzie Zatrudnienia zawód: technik. Dość to było w gruncie rzeczy żałosne.

Ci, którzy przyjechali bez żon, uważają czasem za potrzebne wmawiać nam czy sobie, że żona przyjedzie „później”...

– Mieszkanie, wiecie, jakaś praca... żeby było do czego...

Inni nie mają złudzeń i milczą. Pan M. przyjechał do Szwecji prosto z więzienia. Siedział siedem lat, podczas których żona przeprowadziła rozwód, i nie miał dokąd pójść po odsiedzeniu wyroku.

Stary farmaceuta, coraz bardziej rozgoryczony i przygnębiony, mówi po prostu:

– Po co jej taka poniewierka? Willa na Mokotowie jest na nią... Urządzona... Życie przed nią. Tłuc się po świecie ze starym dziadem?!

Pan magister, bardzo elegancki i zadbany w dniu przyjazdu, teraz, po trzech miesiącach, wygląda rzeczywiście jak stary zabiedzony dziad.

Obóz w Växjö, już ten ostatni przed samodzielnością, natarczywie nasuwał mi skojarzenie z obozem na Majdanku. Zapewne dzięki układowi równolegle ustawionych długich baraków, a także ogólnemu dość ponuremu wyglądowi, obecności szlabanu zamykającego wjazd na jego teren i uwag zarządcy (kierownika? strażnika?) polecających... nie fotografowanie.

Niejednokrotnie, kiedy pobyt w tym obozie przedłużał się o miesiące, powracała do mnie uporczywa myśl, że lekkomyślnie uniknięta możliwość śmierci na Majdanku była być może lepsza niż ta poniewierka na obcej ziemi w ćwierć wieku później. Raz po raz odczuwałam ukąszenie jadowitej ironii losu – wtedy nie chciałam umrzeć z nimi, teraz skazana jestem na to, aby żyć także wśród najgorszych z nich, dzielić ich niewiadomy los.



Na krawędzi Växjö wyrosło miasteczko baraków dla uchodźców. W jednym z tych baraków mieszkałam od lipca 1970 do marca 1971 roku

Pod koniec trzeciego miesiąca pobytu w Växjö otrzymaliśmy wezwanie na specjalny egzamin językowy dla pracowników służby zdrowia w Uppsali. Wyniki tego egzaminu miały zdecydować o naszej przyszłości w tym kraju, o ewentualnym dopuszczeniu do normalnej pracy zawodowej. Oznaczało to nadzieję wyzwolenia się z obozowego środowiska i nastroju oraz z pozycji społecznej żebraka na łaskawym chlebie Szwecji.

Pojechało nas troje – poza mną, kolega-okulista, prawie mój rówieśnik, i młoda pielęgniarka. Pokoje w hotelu mieliśmy zarezerwowane, bilety kolejowe wręczono nam (jak uczniom przed szkolną wycieczką) wraz z kartkami z dokładną informacją, gdzie i kiedy należy się w Uppsali zgłosić. Byliśmy bardzo przejęci i Jurek jeszcze wieczorem usiłował powtarzać sobie reguły gramatyki i odmiany nieprawidłowe.

Egzamin trwał z przerwami dziewięć godzin. Należało tłumaczyć przygotowane teksty, zarówno te dotyczące prasowych aktualności, jak i fragmenty historii choroby. Trzeba było również napisać projekt anamnezy, a następnie omówić go. Na zakończenie mieliśmy napisać wypracowanie na dowolny temat. Ponieważ wypracowania były moją mocną stroną, miałam nadzieję, że wyrówna ono ewentualne braki innych części egzaminu. Gunel, świetna nauczycielka, która uczyła naszą grupę, niestety, tylko przez dwa miesiące, określała moje

szwedzkie wypracowania, a zadawała ich dużo, jako „eleganckie”. Dodawało to odrobinę otuchy.

Jurek zdręczał się, że jako tematu wypracowania użył, zaczerpniętą z „Kulis”, historię babci, która zmarła nagle na wycieczce w Szwajcarii i rodzina, dla uniknięcia kłopotów na granicy, ukryła zwłoki w bagażniku samochodu, który następnie został (razem z babcią) skradziony sprzed wejścia do restauracji. Jurek uświadomił sobie, że napisał słowo trup w rodzaju męskim, podczas gdy język szwedzki wymagał rodzaju nijakiego...

– Co za język?! Po śmierci to już bezpłciowy...

Nie wiem, czy akurat za sprawą tego rodzajnika kolega oblał egzamin, ani dlaczego nie przebrnęła przez niego nasza młoda i dość bystra pielęgniarka. Zresztą „odsiano” wtedy dokładnie połowę zdających i musieli oni powtarzać egzamin po dalszych trzech miesiącach nauki języka, już na kursach w Uppsali. Czułam się całkowicie usatysfakcjonowana moimi skromnymi wynikami – mniej więcej odpowiednik 3+ i z nieco jaśniejszymi myślami patrzyłam w moją szwedzką przyszłość.

*

Po szczęśliwym zaliczeniu egzaminu rozpoczął się mój nowy czas czekania. Tygodnie oczekiwania na decyzję władz, na przydział pracy, na własne dalsze losy. Co kilka dni chodziłam z mojego baraku, z którego stopniowo ubywali dotychczasowi lokatorzy, a napływali nowi, do Urzędu Zatrudnienia, wysiadywałam wraz z innymi „podopiecznymi” fotele w eleganckiej poczekalni i wracałam z niczym. Stypendium zastąpił teraz zasiłek dla bezrobotnych, wypłacany co dziesięć dni.

Deklarowałam, wciąż niczego nie wiedzącej, wciąż mającej w mojej sprawie dokąds telefonować, młodej urzędniczce, gotowość udania się dokądkolwiek, byle rozpocząć normalną pracę. Wyznaczała mi różne dni, różne godziny, wielokrotne „pojutrze”, wciąż nie mając mi niczego konkretnego do zakomunikowania.

Bezczynność wypełniałam lekturą powieści kryminalnych w szwedzkim tłumaczeniu. Zabijało to czas i wzbogacało zasób słów. Było strasznie.

Kolejno ten i ów z eks-ubeków i eks-dyrektorów triumfalnie oznajmiał swój wyjazd do pracy na któreś z wyższych uczelni kraju. W głowie się nie mieściło, ani mnie, ani z pewnością im samym, ale tak właśnie było. Uczelnie stały się zbiornikami na różnego rodzaju odpadki ludzkie. Utworzono szczególną formę zatrudnienia dla osób, z którymi nie wiadomo było, co począć, w tłumaczeniu dosłownym: „ciężko zatrudniałnych”. Określano ich jako *arkivarbetare*, o czym już wcześniej chodziły słuchy po obozach uchodźczych.

Tacy, którzy ewentualnie gdzieś, do czegoś mogą być przydatni – inwentaryzacje, kartoteki, przyklejanie etykietek, odkurzanie książek, mycie próbek, czy ja wiem zresztą? Nikt niczego nie wie. Nowa forma zakamuflowanej jałmużny.

Nadeszła zima i mój przywieziony ze sobą w czerwcu płaszcz, ani nawet „królewskie” palto okazały się niewystarczające. Ktoś z biura Opieki Społecznej zaprowadził mnie do sklepu, gdzie dobrano mi palto zimowe, w kroju i kolorze straszliwie starobabskie, ale wygodne i ciepłe. Dostałam także przy tej okazji ciepłą czapkę z imitacji futra. Nie mogłam przy tym nie zauważyć, że przyjmowanie staje się coraz łatwiejsze. Konieczność i moja aktualna sytuacja społeczna zdawały się to uzasadniać. A może, najzwyczajniej, wszystko stawało mi się coraz bardziej obojętne.

Po wielu tygodniach otrzymałam wreszcie wiadomość, że kompetentne władze szwedzkie nie wyraziły zgody na zatrudnienie mnie w lecznictwie. Mała urzędniczka o buzi tresowanej małpki ma minkę uprzejmie-zbolałą.

Pytam: Dlaczego? – Tego to już ona nie wie.

Ale ja wiem. Mam ukończone pięćdziesiąt lat, nie reprezentuję żadnej pilnie potrzebnej specjalności, od szeregu lat w ogóle nie pracowałam w lecznictwie. Mój dyplom lekarski jest z 1955 roku. Moja, pierwszego stopnia specjalizacja ogólnolekarska – z 1963. O czym tu mówić? Ten obcy kraj nie jest mną zainteresowany i nie zamierza inwestować w moje ewentualne dokończenie się zawodowe. Nie jestem potrzebna. Może mogłabym odwoływać się jeszcze od tej decyzji, zwracać się dokąds lub do kogoś, próbować, ale nie znajduję już w sobie wystarczającej energii. Wiem też, że nie będę mogła być tu przydatna w mojej specjalności teoretycznej z prostej przyczyny, iż nie jest ona reprezentowana na uniwersytetach szwedzkich. Stałam się więc najwyraźniej „ciężko zatrudnialna”...

Czułam się w sytuacji bez wyjścia, schwytana w potrzask, z którego należy przynajmniej próbować wydostać się za wszelką cenę. Należało szukać innych dróg uchodźstwa, innych możliwości dożywania, w innym klimacie geograficznym, a przede wszystkim intelektualnym. W zupełnej desperacji zaczęłam wysyłać listy, wierząc, że adresaci łatwo zrozumieją zawarte w nich wołanie SOS! Napisałam do profesora w Zurychu, załączając list polecający profesora Michała Reichera z Gdańska. Napisałam do Instytutu Antropologii Ogólnej i Stosowanej uniwersytetu w Bolonii, którego kierownikiem była, znana mi z moich czasów studenckich, prof. Graffi–Benassi. Napisałam do prof. Mendes Correa na uniwersytecie w Porto, powołując się na osobę naszego wspólnego mistrza, profesora Frassetto. Czekałam. Odpowiedź nadeszła tylko z Bolonii. Bardzo serdeczna, pełna pamięci i

zrozumienia, ale jednocześnie wyjaśniająca zupełną niemożliwość zatrudnienia mnie w jakiegokolwiek formie.

Obliczyłam swoje oszczędności i zdecydowałam się na podróż do Genewy. Naiwnie wierzyłam w możliwość, w krytycznej sytuacji, w jakiej się znalazłam, uzyskania pomocy od mojej szwajcarskiej rodziny. Zabrałam ze sobą obie walizki (na wszelki optymistyczny przypadek), przezornie nie wtajemniczając jednak nikogo w moje zamiary i nie rezygnując z pokoju w baraku. Nie zastanawiałam się nad odległością naszego pokrewieństwa, ani nad tym, że właściwie nie znam tych ludzi. Działalam w desperacji i ograniczyłam się tylko do listownego uprzedzenia o dacie mojego przyjazdu.

Sprawa naszego pokrewieństwa wyglądała następująco: nasze prababki były siostrami. Matka kuzynki przyjaźniła się z moją babką w XIX-wiecznej Warszawie. Babka, wtedy młoda mężatka i wielka elegantka, ogromnie imponowała młodszej kuzynce. Była jej doradczynią w zakupach i ekwipunku, gdy tamta wybierała się na studia do Genewy. W Genewie pozostała już do śmierci, wychodząc za mąż za profesora chemii tamtejszego uniwersytetu. Tam urodziły się jej dzieci. Jak mogłam przypuszczać, że ci dalecy kuzyni, urodzeni Szwajcarzy, zechcą w ogóle zainteresować się moim losem?! Dziś nie bardzo to rozumiem, ale wtedy moje logiczne myślenie było całkowicie wyłączone.

Kuzynka z ociąganiem się wpuściła mnie do swego domu i potraktowała jak intruza. Nie zainteresowały jej ani przyczyny mojego opuszczenia Polski, ani aktualne trudności, ani dalsze perspektywy życiowe. Chciała właściwie wiedzieć tylko, jak długo zamierzam pozostać w Genewie i po co? Byłam u niej na dwa dni przed wigilią Bożego Narodzenia 1970 roku, ale nie było mowy o tym, aby zaproponowała mi pozostanie o jeden dzień dłużej w jej na wskroś katolickim (*plus catholique que le pape*) domu. Chyłkiem, w wieczór wigilijny, pod osłoną ciemności, wróciłam „od rodziny” do baraku w obozie dla bezpieczeństwa i bezdomnych. A tuż przed nastaniem Nowego Roku dogoniły mnie „rodzinne” życzenia z Genewy... Oczom nie chciało się wierzyć. Ale oto nadruk na eleganckiej kopercie:

*Conseil d'Etat
de la
Republique et Canton
de Genève*

Moje nazwisko i adres na takiej kopercie już prawdopodobnie powinny były zrobić na mnie wrażenie i zachwycić mnie. Wewnątrz piękna reprodukcja fresku z 1488 roku. Po stronie prawej druk wytworną czcionką: *Le conseiller d'Etat et Madame André Chavanne*

vous présentent leur meilleurs vœux pour la nouvelle année i podpis oczywiście. Czarnym długopisem.

– Niech was kaczką kopnie! – mawia się w takich wypadkach po polsku. Co sobie taka pani ministrowa wyobrażała? Że sprawi mi przyjemność? Że mi zaimponuje? Że będę biegać po barakach, wśród uchodźczej hołoty, nędzy lub rozpacz, albo i wszystkiego tego naraz i pokazywać im, jaką to ja mam rodzinę?! Nie byle kto!

Nie wiem, co miała na myśli wysyłając w ślad za mną te uroczyste oficjalne życzenia. Wiem tylko, że inaczej myślałaby, reagowała i postępowała, gdyby urodziła się w Warszawie.

Znalazłam się więc z powrotem w stadium czekania, niepewności, wędrówek do Urzędu Zatrudnienia i do biblioteki po nowy „kryminał”. W końcu stycznia 1971 roku otrzymałam skierowanie do pracy w jednym z instytutów wydziału lekarskiego uniwersytetu w Uppsali, w charakterze *arkivarbetare*... To zrównanie mnie w klasyfikacji zawodowej i społecznej z najrozmaitszymi mętami stalinowskich porządków w naszym kraju, z milicyjnymi ciemniakami, absolwentami uczelni partyjnych i fikcyjnymi magistrami, stanowiło dla mnie potężny cios. Sądziłam, że nigdy nie potrafię wydzwignąć się z sytuacji, w jaką zostałam wtrącona. Taki wyrok losu mógł być zrozumiany i przyjęty tylko jako kara za błędy i występki życia. Sprawa winy i kary, nienowa w moim myśleniu i pojmowaniu siebie, stała się jeszcze dotkliwsza i bardziej obsesyjna.

Wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazłam, nie było, a przynajmniej ja go ani nie dostrzegałam, ani nie czułam się do niego zdolna. Śmierć? Oczywiście, ale wiedziałam już przecież, że nie stać mnie na to. Przyjęłam więc to, co mi życie, w postaci szwedzkiego Urzędu Imigracyjnego, Wydziału Opieki Społecznej i Urzędu Zatrudnienia, miało do zaofiarowania.

Z powodu trudności komunikacyjnych, związanych z wielotygodniowym strajkiem kolejarzy, dopiero pod koniec lutego 1971 roku mogłam opuścić mój barak i obóz w Växjö i jakąś przypadkową ciężarówką dojechać do Uppsali.

Miła starsza pani w biurze imigracyjnym dopomogła mi w znalezieniu mieszkania, wprawdzie nie w mieście, ale w nowo powstałym osiedlu, w połowie drogi między Sztokholmem a Uppsalą, dokąd miałam dojeżdżać pociągiem. Określenie „dopomogła” nie jest tu adekwatne, gdyż moje własne starania ograniczyły się do złożenia podania w Urzędzie Mieszkaniowym, co dawało jedynie miejsce w kolejce oczekujących na przydział. Pani z biura imigracyjnego załatwiła więc sprawę ze spółdzielnią mieszkaniową, z pożyczką na pierwszą wpłatę, którą musiałam później spłacać w małych miesięcznych ratach,

bezpośrednio odtrącanych z poborów, a także z uzyskaniem pożyczki na zakup niezbędnych mebli i przedmiotów gospodarstwa domowego. Praktycznie więc sprawa mojego zamieszkania w Märsta dopełniła się bez mojego udziału, za co wtedy mogłam być tylko wdzięczna.

Własny klucz do własnego, prześlicznego zresztą, ciepłego i pełnego słońca mieszkania, to było coś nowego. Z mieszanymi uczuciami brałam w posiadanie tę moją nową przestrzeń życiową. Tu mam odtąd żyć. Były to zarazem puste ściany, w obcym miejscu, przestrzeń, którą należało wypełnić treścią. Jaką?

Tak zwana pożyczka startowa w kwocie dwóch tysięcy koron wystarczyła na zakup łóżka z materacem, stołu kuchennego, dwóch krzeseł, lampy i kawałka chodnika.

Trwające nadal trudności transportowe opóźniały nadejście owych czterech skrzynek z dobytkiem zabranym na drogę uchodźstwa. To co zabiera się uchodząc: pościel, ubranie, bielizna, trochę książek, fotografie ludzi bliskich, których się kiedyś miało, trochę przedmiotów codziennego użytku, które wolno było zabrać ze sobą.

Myśl o tych skrzynkach i ich wynoszeniu z domu kojarzy i pewno zawsze będzie mi się kojarzyć z wynoszeniem trumny mojej matki. W obu sytuacjach nie chciałam widzieć tego momentu, ani nie obejrzałam się za siebie. Wynoszono moją matkę, a potem wynoszono mnie – bardziej skomplikowane to skojarzenie nie było.

Tygodnie mijały, strajk kolejarzy skończył się, a moje rzeczy nie nadchodziły. Spałam na materacu, pod moimi paltami – „królewskim” i zimowym, a że centralne ogrzewanie działało bez zarzutu – jakoś to było. Biuro imigracyjne, które po kilku tygodniach zainterweniowało w firmie przewozowej, wyraziło mi (mało pocieszające) uznanie, że tak długo czekając na bagaż, tak mało dawałam im się we znaki. Niektórzy uchodźcy awanturowali się o to i owo, wysuwali żądania, miewali najrozmaitsze pretensje. Być może niektórym trudno było zapomnieć, że już nie są... „na górze”... Sami zresztą spotykałam się z tym nierzadko. Jejmość „wyprowadzona” ze służbowego apartamentu we Wrocławiu narzekała rozgłosnie na przydzielone rodzinie mieszkanie:

- Zaprosili nas, a teraz – byle co...
- Pani nikt tu nie zapraszał – wyjaśniałam łagodnie – panią tu wpuszczono. Z łaski.

Tak zresztą czułam się sama i jakiegokolwiek pretensje czy żądania z mojej strony, niezależnie od tego, co mnie tu spotykało, uważałabym za niedorzeczne i wręcz nieprzyzwoite. Byłam na łaskawym chlebie i nie wolno mi było o tym zapominać.

Cztery straszne skrzynki nadeszły wreszcie i zaczęłam przynajmniej sypiać „jak ludzie”, o ile w ogóle mogłam zasnąć, z czym miałam coraz większe trudności.

Odpowiedź na pytanie: Za co mnie to spotkało? – wracała dziesiątkami natarczywych złych wspomnień.

Dojazdy do Uppsali nie ograniczały się do dwudziestominutowych przejazdów pociągiem. Do i ze stacji kolejowej dojeżdżało się (również 20 minut) do dzielnicy Valsta. Tym właśnie autobusowym dojazdem zawdzięczałam odkrycie, że większość pasażerów rozmawia między sobą nie po szwedzku. Dość często słyszałam język polski i stąd wzięty początek moje pierwsze znajomości z sąsiadami. Z tych dojazdowo-sąsiedzkich kontaktów utkwiło mi w pamięci opowiadanie pewnego pana w moim wieku, z zawodu adwokata, który jednak w Polsce Ludowej przedłożył nad swój zawód stanowisko naczelnika Urzędu Bezpieczeństwa w jednym z województw wschodnich. Pan ten, wylądowawszy w Szwecji, zobaczył, nie pamiętam już, czy w porcie, czy na lotnisku czy na stacji kolejowej, szyldzik głoszący: „Ingång förbjuden”. Oznacza to „Wejście wzbronione”, ale znający tylko język niemiecki i przygotowany na wszelkie możliwe upokorzenia uchodźca odczytał go jako: „Eingang für Juden”... Niezły to musiał być upadek z naczelnikowskiego fotela, aby dopuścić możliwość takiej dyskryminacji. Z czasem okazało się, że pan ten ma nie być jakie zasuplenia rodzinne. Jego małżonka („Całe szkolnictwo średnie Polski Ludowej odbudowano według moich wzorów... „) jest rodzoną siostrą osławionego pułkownika Światło...

Inni dojeżdżający sąsiedzi nie legitymują się tak rozgłośnie, przez co stają mi się jeszcze bardziej podejrzani. On, o typowym wyglądzie solidnego murarza, zduna lub „ciecia”, rodem z Targówka, Czerniakowa albo i dalszej jakiejś podstołecznej wsi. Ona natarczywie przypomina widywane w dzieciństwie przekupki owoców z ulicy Ptasiej. On, kaleka o szpotawej stopie, zdołał mimo tego kalectwa, albo i dzięki niemu, uratować ją i podobno kilka innych osób z jej otoczenia przed losem Żydów warszawskiego getta. Teraz pracują oboje jako „ciężko zatrudniali” w jednej z wyższych uczelni. Nie potrafię sobie wyobrazić, co tam robią? To samo co ja? NIC?

W autobusie słyszało się także język czeski, węgierski, grecki, hiszpański i inne, nie rozpoznawane. Okazało się mianowicie, że spółdzielnia mieszkaniowa wybudowała to osiedle, w gruncie rzeczy brzydkie skupisko brylastych bloków mieszkalnych, trochę na wyrost. Mieszkania były drogie, wymagały wysokich wkładów i późniejszych opłat miesięcznych, co łącznie z kosztami i niewygodami dojazdów do pracy i stałymi odgłosami startujących i lądujących samolotów z pobliskiej Arlandy nie zachęcało lokatorów. Wiele mieszkań świeciło więc pustkami, czasem przez wiele miesięcy, i narażało spółdzielnię na stałe straty. Umyślono więc (pomiędzy urzędami), aby lokować tu imigrantów, zwłaszcza tych nowo przybyłych, tych bardziej pokornego serca, jeszcze nie orientujących się w

sytuacji i łatwo dających się namówić na drogie mieszkanie z koniecznością dojazdów do pracy. Powstał w ten sposób rodzaj getta dla ludzi z różnych stron świata, różnymi złymi okolicznościami i koniecznościami życiowymi przywianych do Szwecji. Po zorientowaniu się w sytuacji i zdobyciu odpowiednich środków materialnych po dwóch, trzech latach większość tak osadzonych przybyszów opuszczała osiedle.

Dojeżdżałam więc do „pracy”. Cudzość jest tu więcej niż uzasadniony. Profesor, dyrektor instytutu, zaprowadził mnie do pokoju, który dla mnie przeznaczył. Pokój ten był położony na najwyższym piętrze budynku, poza salą biblioteczną. Ponieważ w sali tej urzędowała bibliotekarka, w przejściu zostałam jej przedstawiona. Była to jedyna osoba spośród personelu, którą poznałam osobiście i z którą miałam codzienny zdawkowy kontakt przez następne osiem miesięcy.

Profesor wyjechał w kilka dni po „zainstalowaniu” mnie, nie pozostawiając żadnych wyjaśnień, poleceń ani zadań do wypełnienia. Mogłam oczywiście przeglądać czasopisma w doskonale zaopatrzonej bibliotece, mogłam czytać książki, mogłam pisać listy, a równie dobrze – nie robić nic. Moje przebywanie w instytucie coraz częściej zaczęło sprowadzać się do tego ostatniego, co było zwyczajną torturą.

Ponieważ mój pokój był oświetlony przez nieotwieralne okno w suficie, mogłam również obserwować niebo – kształty, zmienność i przepływanie chmur.

Życie instytutu toczyło się na trzech kondygnacjach czcigodnego osiemnastowiecznego budynku, ale dla mnie jak gdyby w innym wymiarze. Nie znałam nikogo, nie wiedziałam, czy i komu powinnam się przedstawić. Nikt nie znał mnie ani nie interesował się moją obecnością. Przemykałam się cicho i pospiesznie schodami, nie odzywając się do przypadkowo spotkanych osób, ani nikt nie odzywał się do mnie, nie pytał, kim jestem ani co tu robię.

Dwa razy dziennie dochodziła do moich zmysłów świadomość gromadnego picia kawy w pokoju rekreacyjnym, bezpośrednio sąsiadującym z biblioteką. Nie wiedziałam, czy należy to do zwyczajów, czy też każdy posila się indywidualnie i nikt mnie w tej mierze nie objaśnił. Dziś wiem, że podobna sytuacja mogła zaistnieć i trwać przez tak długi czas jedynie w Szwecji, w kraju, w którym wszyscy tak dalece przywykli interesować się tylko sobą, że do zdarzeń szczególnie częstych należy znajdowanie ludzi mieszkających samotnie w wiele tygodni, a nawet miesięcy po ich śmierci. Nie wiem – mówiono mi, że podobnie dzieje się w Szwajcarii, ale mnie wystarczą doświadczenia ograniczające się do kraju, w którym wypadło mi dożywać swoich dni.

Kompletna izolacja i beczynność w tej skondensowanej atmosferze obcości budziła we mnie uczucie bezsilnej rozpacz, narastającej z każdym dniem, niemal z każdą godziną w tym pokoju poza wszelkim życiem. Po co tu byłam? Co miałam robić? Czego ode mnie oczekiwano? Nie miałam pojęcia. Świadomość mojej obcości, zbyteczności i bezsensowności w tym miejscu nie pozwalała mi skoncentrować uwagi na jakimkolwiek działaniu, którym mogłabym wypełnić dłużący się czas. Odkładałam nieprzeczytane książki, przeglądałam atlas geograficzny i katalog telefoniczny, obserwowałam niebo.

Próbowałam uporządkować i przepisać jakieś dawniej zanotowane spostrzeżenia, zaplanowane a nie dokończone artykuły, na maszynie, w którą litościwie wyposażyła mnie bibliotekarka. Ale i tego nie na długo starczyło.

Próbowałam także powrócić do mojej niedokończonej powieści, na którą umowa z „Czytelnikiem” utraciła już wszelką ważność, zarówno w sensie prawnym, jak i najzupełniej subiektywnym. Powieść miała nosić tytuł „Przylądek utraconej nadziei” i toczyć się w fikcyjnym środowisku akademickim, wyrastającym z moich ponad dwudziestoletnich obserwacji, doświadczeń, przeżyć i przemyśleń w tym środowisku. Teraz zastanawiałam się, czy w samym sformułowaniu tytułu, wtedy, w dniu zawierania umowy, w czerwcu 1966 roku, nie było jakiegoś intuicyjnego odczucia nadciągającej katastrofy? Czy można było znaleźć się na gruncie bardziej „utraconej nadziei” niż byłam teraz, na tym obcym półwyspie? Nadzieja? Na co?! Okazywało się, że może istnieć beznadziejność głębsza jeszcze i bardziej okrutna od tej, którą znałam.

Ogłoszony przez londyńskie „Wiadomości” konkurs literacki na szkic na temat przeżyć emigranckich stanowił rodzaj koła ratunkowego, rzuconego w pustkę i beznadziejność, w jakiej tkwiłam. Uchwyciłam się też kurczowo tej możliwości chwilowego bodaj utrzymania się na powierzchni życia. *Mój pierwszy rok na emigracji*, gorzki jak moja ówczesna rzeczywistość, uzyskał II nagrodę, przyniósł mi pierwsze nieżebracze dwadzieścia funtów i zajął trzy szpalty „Wiadomości” w 1972 roku, niemal dokładnie w dwa lata po opuszczeniu kraju.

Napisałam jeszcze jeden, równie, a może i bardziej jeszcze gorzki, artykuł, który trafił do grudniowego numeru „Wiadomości” w tymże 1972 roku. Szkic na marginesie dziejów nauki polskiej po 1945 roku. Jego podsumowanie brzmiało:

Proces postępującego rozkładu, toczący organizm nauki polskiej przebiega wielokanałowo i wieloczasowo, poprzez kierowany niemal wyłącznie protekcją lub łapownictwem nabór nowego narybku studenckiego, poprzez ulgowe taryfy studiów dla osobników ze środowisk mafijnych, przez

obniżanie poziomu nauczania w ogóle, a poziomu naukowego, intelektualnego i moralnego nauczających w szczególności...

Te refleksje, myślane czy pisane, nie przynosiły ulgi w mojej osobistej sytuacji tamtego czasu.

Nie tylko czułam się zbytecznym, z litości przygarniętym wypędkiem, indywiduum bez przynależności państwowej ani społecznej, nikiem, ale rosła we mnie pewność, że niczego właściwie nie umiem i do niczego się nie nadaję. Moja wiedza była przestarzała i zwietrzała. Moje kwalifikacje zawodowe – bez żadnego zastosowania. Nie mogłam być tu lekarzem, bo za dawno i za daleko odeszłam od praktyki lekarskiej. I jaka to wreszcie była praktyka?! Kilka miesięcy na chirurgii, kilkanaście lat temu. Rok w przychodni przyzakładowej. Trochę położnictwa. Dorywcze zastępstwa w przychodniach rejonowych. Pierwszy stopień specjalizacji ogólnolekarskiej, też blisko dziesięć lat temu! Wypominałam sobie z goryczą wszystkie nie wykorzystane okazje i możliwości pogłębienia wiedzy klinicznej.

Nie mogłam też być wykładownicą, bo co, jak, gdzie i komu mogłabym tu wyklądać?! Antropologia, w naszym rozumieniu, a więc jako biologia porównawcza i genetyka człowieka, nie była wykładana na uniwersytetach szwedzkich. Stan ten wynikał z chęci odżegnania się od przedwojennych i wojennych ścisłych związków nauki szwedzkiej z antropologami nazistowskimi i propagandą teorii rasistowskich. Odżegnując się teraz od tych teorii, pragnąc zapomnieć nie tak dawne grzechy, unikano nawet nazwy skompromitowanej dyscypliny. Później posunięto się jeszcze dalej, przemianowując pewne gałęzie nauk humanistycznych na antropologię etniczną i antropologię socjologiczną. Stanowiło to nawrót do dawnych tradycji Taylora, Maretta, Malinowskiego czy Levi-Straussa, ale definitywnie wykreślało wszelkie biologiczne studia, które ewentualnie mogłyby być pomówione o rasizm.

Usiłowałam przekonywać samą siebie, że powinnam być zadowolona i wdzięczna, że mnie w ogóle tolerują na gruncie akademickim, że mogę mieć w jego granicach swoją „cichą przystań”. Ale nie byłam zadowolona ani wdzięczna. Pokój za biblioteką stał się prawdziwą izbą tortur. Opuszczałam go codziennie z uczuciem ulgi i postanowieniem nie powrócenia więcej do tego straszego miejsca. Jeśli następnego dnia zrywałam się mimo wszystko, o ciemnym przez większą część roku świecie, biegłam na przystanek autobusowy, dążyłam na właściwy pociąg i punktualnie o godzinie 8-ej przekraczałam znienawidzony próg, działało się to w znacznym stopniu dzięki urokowi mojego mieszkania. Rozgoryczoną i pełną złych

postanowień moje mieszkanie w Märsta witało zalewem słońca, ciepła, jakiejś szczególnej przyjaznej jasności. Poddawałam się jej i – żyłam dalej.

Zaczęłam szukać pracy na własną rękę, wertując cotygodniowe biuletyny Urzędu Pracy i ogłoszenia w prasie. Poszukiwano pakowaczek w fabryce czekolady „Marabou” w Upplands Väsby, niedaleko Sztokholmu, a także miejsca mojego zamieszkania. Nie muszę tu zapewniać, że nie rodzaj produkcji był w tym wypadku momentem zachęcającym. Złożyłam podanie, ale żądano dodatkowego wyszczególnienia „kwalifikacji” i uznano, że moje nie są odpowiednie – jestem *överkvalificerat*, czyli zbyt wysoko wykwalifikowana... Zataić mojego wykształcenia nie sposób było, bo wszyscy jesteśmy tu oznakowani jedenastocyfrowym numerem i nasze dane personalne idą wszędzie w ślad za nami.

Złożyłam podanie do nowo powstałego Instytutu Medycyny Pracy w znanym mi Växjö i nawet zdecydowano się na próbne zatrudnienie mnie, ale sprawa mieszkaniowa okazała się nierozwiązywalna w najbliższym czasie. Nie miałam przecież pieniędzy na kupno mieszkania, ani na wynajęcie go z tzw. drugiej ręki. A nie było tu żadnej miłej pani, która zechciałaby uszczęśliwić jednocześnie mnie i jakąś spółdzielnię mieszkaniową.

*

Wielkim wydarzeniem w pierwszym okresie mojego życia w Märsta była niespodziewana wizyta z kraju. Jak *deus ex machina* zjawił się pewnego popołudnia syn (dawniej określałam go: synalek) byłych sąsiadów i widok jego twarzy, która nie wydała mi się ani tak bezmyślna, ani arogancka, jak wtedy, gdy ją kiedyś spotykałam na schodach, sprawił mi ogromną radość. Ktoś z domu!

- Oczywiście, że może przenocować!
- Oczywiście, że może zatrzymać się na kilka dni...
- Oczywiście, że może zatelefonować do znajomych na drugim krańcu Szwecji...

Zapomina się o ograniczeniach budżetu i prawie pustej lodówce. Mam gościa z kraju. Odgrzewam wczorajszy żurek, przeznaczony na jutrzejszy obiad, podczas gdy on prowadzi ożywioną rozmowę telefoniczną z kimś daleko, raz po raz powtarzając: „Słuchaj, stary...”, „Wyobraź sobie, stary...”, „Może byś tu do mnie przyjechał, stary...”

Zaniepokojona brakami aprowizacji, bo przecież zrozumiałe, że chłopak musi zjeść porządnie, podejmuję wyprawę do pobliskiego centrum handlowego. Ofiarowuje się towarzyszyć mi. Jest bardzo przyjemnie iść znaną drogą, mówiąc po polsku. Pytam o rodziców, sąsiadów, znajomych. Okazuje się, że jego ojciec pożyczył mojej koleżance parę

tysięcy złotych, z tym że ja tu oddam w rozliczeniu... Skóra na mnie cierpnie. Wiem co to za koleżanka i że on będzie ode mnie żądać koron... Jest już trochę mniej przyjemnie.

Wybrałam się po zakupy całkowicie nieświadoma ryzyka, na jakie się narażam, on zaś towarzyszył mi, w pełni świadomy swoich gustów i apetytu. Grzecznie niośł plastikowy koszyk, zgrabnie wrzucając do niego wyłożone na stoiskach produkty. Moje nieśmiałe uwagi zbywał logiczną argumentacją:

- Po co taki mały słoik? Bierzemy większy, na dłużej pani starczy...
- Nie próbowała pani? To warto skosztować...
- Radzę skosztować to salami, na moją odpowiedzialność!
- Tamten kawałek sera lepiej wygląda. Za duży? Wygodniej będzie kroić.

Dziesiąte poty na mnie były i z obawy, że mi zabraknie gotówki przy kasie, i z irytacji, że nie potrafię położyć kresu tej żywiołowej „aprowizacji”, a tym samym przyznać się, czemu najprawdopodobniej nie uwierzyłby, że muszę tu żyć bardzo, ale to bardzo oszczędnie. Przy kasie kompromitacji nie było, mimo solidnie (jak nigdy) wypełnionego koszyka, do którego dorzucił jeszcze dwa opakowania papierosów...

Przez następne trzy czy cztery dni moje mieszkanie wypełnione było dymem papierosów, ich niedopałkami, zalegającymi w różnych miejscach, wyziewami młodzieńczego niedomytego ciała oraz zapoconych skarpet. „Stary”, który okazał się młodym lekarzem, zbiegłym z kraju przed podwójnymi alimentami, przyjechał ze swoją Szwedką i musiałam być gościnną. Korony w rozliczeniu honorowego długu zainkasował, przypuszczalnie solidnie mnie naciągając...

Tej pierwszej wizyty z kraju nie mogłam, mimo najlepszych chęci, zaliczyć do udanych, ale daleka byłam od jakichkolwiek uogólnień i uprzedzeń.

Miałam w Märsta jeszcze jedną, zupełnie innego rodzaju wizytę z Polski. Instytut odwiedziło mianowicie dwóch profesorów jednej z krajowych Akademii Medycznych. Jeden z nich był moim kolegą z roku studiów, więc przyjemność była podwójna i nawet, z mojej przynajmniej strony, zaprawiona autentycznym wzruszeniem. Tyle lat razem! Tyle wspólnych kolegów, wykładowców, znajomych! Tyle podobnie pamiętanych przeżyć i zdarzeń studenckiego życia!

Zaprosiłam uczonych mężów do siebie, nie krępując się skromnością domu, po prostu na porządny polski bigos. Na szczęście w lodówce drzemała również „Wyborowa”, odkupiona od poprzedniego gościa.

Mój dawny kolega, przez cały czas trochę jak gdyby czymś skrępowany czy zaniepokojony, upatrzył moment, w którym jego towarzysz udał się do ubikacji, żeby spieszenie naszeptać mi:

– Niczego przy nim. Ani słowa. Na żaden temat. Żadnych pytań. Bardzo ostrożnie!

Byłam ostrożna i nie pytałam o nic, ani o nikogo, ale smak tego spotkania pozostał gorzki.

*

Moje pobory miesięczne za dotychczasową, upokarzającą namiastkę pracy były na poziomie minimum przeżywalności, ale mnie wystarczyły całkowicie. Poza tym uważałam, że jest to o sto procent więcej niż mi się należy i czułam się żalnym obiektem filantropii tego obcego kraju i jego obywateli, którym do niczego nie byłam potrzebna, którzy niczego o mnie nie wiedzieli, ani nie chcieli wiedzieć.

Inna sprawa, że po raz pierwszy zdecydowałam się na zjedzenie obiadu w restauracji samoobsługowej, kiedy znalazłam w liście od kuzyna z Ohio banknot 20-dolarowy.

Dwa prawie równoczesne zdarzenia przerwały to błędne koło mojej bezczynności i udręki. Pierwszym był powrót do instytutu jednego z późniejszych przyjaciół (w swoistym szwedzkim rozumieniu), z rocznego pobytu w Stanach Zjednoczonych¹. Zastępował w dalszym ciągu nieobecnego dyrektora, a że wyzbył się za granicą trochę tej szwedzkiej rezerwy i obojętności w stosunku do innych ludzi, przekroczył próg mojego pokoju z oknem zwróconym ku niebu i odezwał się. On to zaproponował mi wypicie pierwszej filiżanki kawy przy wspólnym stole i zajął się znalezieniem mi bodaj jakiegoś tymczasowego pomocniczego zajęcia w instytucie. Jego dom stał się również pierwszym w Uppsali szwedzkim domem, którego progi przekroczyłam jako gość.

Drugim ważnym wydarzeniem były moje odwiedziny w archiwum krajowym, mieszczącym się w południowym, jedynym zresztą ocalałym skrzydle uppsalskiego zamku Wazów, tego samego, do którego niegdyś królowa Szwecji Krystyna zapraszała Kartezjusza na filozoficzne dysputy o mroźnych porankach, co, jak wiadomo, przyplacił on życiem.

W archiwum znalazłam materiały, o jakich w naszym od stuleci najeżdżanym, plądrowanym, niszczone i palonym kraju nigdy nikomu nawet się nie śniło. Otworzyły się przede mną możliwości wejścia w bezcenny skarbiec wiadomości o życiu wielu pokoleń ludzi na tym północnym skrawku obcej, ale przez to przecież nie mniej interesującej ziemi.

¹ *Arbetskamrat* – towarzysz pracy.

Całe mnóstwo zagadnień demograficznych, epidemiologicznych, a także socjalnych po prostu wychodziło naprzeciw mojej ciekawości i prowokowało do głębszego, szczegółowszego wglądu.

Wystarczyło przejrzeć kilka stron pierwszej lepszej, przypadkowej, bo wszystko było tu dla mnie nie znane i przypadkowe, księgi urodzeń, zgonów czy okresowych pastorskich przesłuchań² w jakiejś wiejskiej czy miejskiej parafii, aby znaleźć się przed przykuwającym uwagę problemem. Umierały noworodki, a ich krótkie żywoty, rzucone na mapę terenu, albo odniesione do określonego okresu czasu, wydawały układać się w jakiś wzór, którego na razie nie potrafiłam odcyfrować. Choroby zakaźne wieku dziecięcego zbierały swoje obfite żniwo. Natomiast wielkie epidemie chorób, pustoszących wsie i miasta kontynentu, tutaj wykazywały zaskakująco łagodny przebieg. Chciałam wiedzieć, dlaczego?

Musiałam zadawać się własnymi hipotezami na podstawie dodatkowego piśmiennictwa, wyszperanego w bogatych zbiorach biblioteki uniwersyteckiej, owej *Carolina Rediviva*³, do której, nawiasem mówiąc, wiele cennych dzieł i starodruków trafiło drogą rabunku również i z Polski podczas Wojny Trzydziestoletniej. Wydaje się więc, że południowe obszary Szwecji broniły się przed falami groźnych epidemii ubiegłego stulecia, przede wszystkim cholery, siecią efemerycznych lazaretów i zatrudnieniem lekarzy kwarantanny, tzw. „oczekiwania” na ewentualny wybuch epidemii, aby zdusić ją szeregiem ścisłych przepisów i działań sanitarnych. Natomiast na północy kraju łagodny przebieg epidemii przypisywałabym małej gęstości zaludnienia, z wielomilowymi odległościami pomiędzy osiedlami i brakiem albo utrudnioną dostępnością dróg komunikacyjnych.

Umieralność okołoporodowa matek i szczególnie częste zgony obojga, a przynajmniej jednego z noworodków w urodzeniach bliźniaczych, wskazywały na bezbronność danej populacji wobec sił natury i braku podstawowej, w naszym rozumieniu, opieki sanitarnej.

Między innymi zjawiskami zwrócił moją uwagę zmieniający się w czasie życia kilku ostatnich pokoleń wiek kobiet rodzących. Za pośrednictwem Biblioteki Miejskiej zamówiłam mikrofilmy ksiąg parafialnych dwudziestu sześciu gmin w różnych dzielnicach Szwecji. Dotyczyły one ogółem ponad dwudziestu dwóch tysięcy urodzeń żywych, o dokładnie zaznaczonym wieku matki. Okazało się, że w XIX wieku, który był czasem wielkiego niedostatku dla większości mieszkańców Szwecji, życie rodzinne rozpoczynano później i jedynie dwanaście procent rodzących było w wieku poniżej 24 lat. Natomiast w kategorii

² „Przesłuchania” polegały na sprawdzeniu umiejętności czytania oraz znajomości katechizmu wszystkich dorosłych domowników.

³ Nazwa pochodzi od imienia króla Karola XI Wazy (1655–1697), odnowiciela i reorganizatora biblioteki uniwersyteckiej.

wieku uważanego wtedy za średni, od 30 do 39 lat, znalazło się ponad pięćdziesiąt procent matek.

Sytuacja ta uległa zmianie w szybko narastającym dobrobycie powojennej Szwecji. Już w 1952 roku ponad trzydzieści procent matek było w wieku od 18-go do 24-go roku życia, a w kilka lat później było ich ponad czterdzieści cztery procent. Jednocześnie nastąpiło wyraźne obniżenie się liczby rodzących w wieku powyżej 30-go, a zwłaszcza 35-go roku życia. Zagadnienie to, poza swoimi aspektami społecznymi i ekonomicznymi, ma to szczególne znaczenie, że z wiekiem matki wzrasta ryzyko zmian chromosomalnych i zaburzeń rozwojowych w ustroju płodu. Stosunkowo najlepiej znany i opisany jest związek zachodzący pomiędzy wiekiem matki a ujawniającym się u dziecka zespołem Downa, popularnie zwanym „mongolizmem”. Postawiłam sobie pytanie, czy i w jakim stopniu zmiana przeciętnego wieku rodzących mogła znaleźć swój wyraz w występowaniu tego zespołu w Szwecji. Okazało się, że w długim okresie czasu, bo od początków XIX wieku aż do lat trzydziestych naszego stulecia, ryzyko wystąpienia zespołu Downa przekraczało, w mniejszym lub większym stopniu, dwa przypadki na tysiąc urodzeń. Następnie ryzyko to obniżyło się wyraźnie, aż do 1,1 przypadków w 1970 roku.

Dopiero w trzy lata później, na Międzynarodowym Sympozjum Europejskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka w Umeå w 1974 roku, miałam możliwość przekonać się, że moje teoretyczne obliczenia pokrywały się ze spostrzeżeniami epidemiologów i pediatrów skandynawskich.

Chociaż w późniejszych latach miałam okazje uczestniczyć w większych i okazalszych sympoziach i kongresach, zarówno pod względem liczby uczestników, jak i samej organizacji i oprawy zjazdów, owo sympozjum w Umeå będę zawsze wspominać jako najważniejsze w moim akademickim losie na obczyźnie. Stanowiło w znacznym stopniu jego punkt przełomowy.

Jechałam do dalekiego Umeå jako nikt, *arkivarbetare* o nieokreślonej pozycji, przypadkowo zabłąkany gość z za „żelaznej kurtyny”... Jechałam z obawami i wątpliwościami różnego rodzaju. I... po co? Po raz pierwszy, w obcym zupełnie środowisku, miałam przedstawić wyniki własnej pracy. Nie bałam się swoich sformułowań, ale nie czułam się pewna języka, w którym miałam je wypowiedzieć. Byłam pewna swoich wyników i sensu wniosków, ale nie miałam pojęcia, czy zainteresują one kogokolwiek, czy znajdą jakiś odzew.

Trema, którą jestem dziedzicznie obarczona, ale którą z biegiem lat nauczyłam się opanowywać, odezwała się ze wzmożoną siłą, gdy miałam wejść na salę wstępnego

wieczornego spotkania uczestników sympozjum. Żałowałam, że tu przyjechałam, bo niby co mogło mnie tu ciągnąć, co mogło mi teraz zależeć – zadawałam sobie pytanie – na zjazdach, referatach, dyskusjach i artykułach?! Zadawałam sobie pytanie, czy to nawyk, czy próżność ciągnie mnie do tego środowiska, które przecież zawiodło mnie tak całkowicie, zdradziło w najbardziej cyniczny sposób? Po co? W imię czego? Ale nie pora była na te rozważania, przestałam więc próg tego pierwszego spotkania. Za tym progiem nagle, wbrew obawom i przewidywaniom, przestałam czuć się obco. Spotkałam kilka osób, które już znałam i które mnie znały. Do spotkań szczególnie cennych zaliczam spotkanie z profesorem Margerete Weninger z Wiednia, wtedy blisko osiemdziesięcioletnią, czcigodną seniorką całego zgromadzenia. Wiedziała, kim jestem, choć dotychczas znałyśmy się tylko z piśmiennictwa. Bardzo szybko dorozmawiałyśmy się wspólnych znajomych w dyscyplinie, której obie, a także jej zmarły mąż, blisko związany z instytutem bolońskim i osobą prof. Frassetto, poświęciliśmy wiele pracy i entuzjazmu. Przestałam czuć się „z nikąd”... ale był to już październik 1974 roku.

*

Kiedy profesor, po wielomiesięcznej nieobecności, wrócił do instytutu i w dalszym ciągu nie wiedział, co ma ze mną począć, przedstawiłam mu gotowe opracowanie. Tym momentem krzywa mojego losu zmieniła swój kierunek, chociaż na razie nic jeszcze na to nie wskazywało. Mogłam w dalszym ciągu przeglądać czasopisma, obserwować przesuwanie się chmur i czekać, w dalszym ciągu czekać natchnienia szefa odnoszącego się do mojej ewentualnej przydatności w tym miejscu.

O ile trafienie do kategorii „ciężko zatrudnialnych” poszło niezwykle szybko i sprawnie – wystarczyło kilkunastu tygodni „odleżenia się” moich dokumentów w czyjejsz szufladzie czy na półce, a potem szybkiego podpisu i zlecenia mojego dalszego losu pocztą, o tyle wydostanie się z tego zaszufładowania wymagało zawilej (widocznie) procedury i aż czterech długich trudnych lat.

*

Z upływem czasu mijał początkowy wstrząs trafienia w inną rzeczywistość, złożoną z rzeczy i spraw obcych, niezrozumiałych, z niczym wcześniejszym nieporównywalnych. Ale jednocześnie to z wolna rozszerzające się poznawanie rzeczy otaczających zaczęło zarysowywać skamienielinę, którą się stałam, coraz głębszymi spęknięciami tęsknoty. Zaczęły ją kruszyć i rozsadzać zaskorupiałe w jej wnętrzu ziarna cierpienia.

Tysiączne kształty tęsknoty. Jej ataki o różnej sile i czasie trwania. Nagle, bez żadnego uświadomionego związku z wydarzeniami chwili, pojawiał się fragment znajomej ulicy, zakręt szosy, wystawa sklepowa, przed którą się czasem przystawało, drzwi, na które, mijając je setki razy, nie zwracało się szczególnej uwagi. Tęsknota uderzała migawkami obrazów pozornie zapomnianych i nieważnych, zarysami miejsc i przedmiotów, kolorami i dźwiękami czasu przeszłego. Dopiero jeszcze później obrazy zaczęły nabierać życia i ruchu, a tym samym stawały się coraz bardziej napastliwe i dręczące.

Ulicą, lekko wspinającą się ku innej, idą ludzie bez twarzy. Nie czuję żadnego zdziwienia. Przecież ich nie znam, wiem tylko o ich istnieniu i możliwych kierunkach ich ruchu. Jeśli dziwi mnie cokolwiek, to raczej to, że poruszają się tak samo, jak kiedy szłam codziennie tą ulicą. Zapewne byłabym mniej zdziwiona, gdyby tej ulicy i tylu innych, ukazujących się i znikających migawkami, w ogóle nie było, skoro nie ma mnie.

W kiosku RUCH-u na rogu znajoma pani sprzedaje gazety, chociaż ja ich u niej nie kupuję. Daty gazet oddalają się coraz bardziej od pory mojego istnienia w tym miejscu.

Witrynę sklepu CePeLiA, który odziedziczył swoje miejsce po tandeciarskiej księgarni i spalonym sklepiku spożywczym spalonej panny Mani, musiano zmienić już wielokrotnie, ale dla mnie, która nie mogę jej zobaczyć, jawi się stale tą samą gmatwaniną pasiaków i tkanin, mis i sznurów bursztynów kipiących z drewnianej, intarsjowanej szkatułki. Ludzie wchodzą i wychodzą drzwiami. Dwa wysokie kamienne stopnie, może już naprawione. Nie odwracają się, nie oglądają poza siebie. Nie ma mnie tam nawet duchem, powiewem wiatru, niewytłumaczalnym zaniepokojeniem, jakie żywi zwykli odczuwać wobec zmarłych.

Ktoś idzie, zupełnie gdzie indziej, szerokimi schodami, jak gdyby nigdy nic. Już od dawna nie wstępowałam tymi schodami i prawdopodobnie nigdy nie postawię na nich stopy. Ktoś nieznanymi wchodzi zamiast mnie do kolumnowej sali. Może mieć będzie wykład. Najzupełniej normalnie.

Rozpoznaję twarze osób spieszących półkuliście biegnącym korytarzem. Nie ma mnie wśród nich. Jeżeli którąś z tych twarzy zmieniają lata, choroby, nałogi czy występki, jeśli zestarzeją się i uwiędną – nie będę o tym wiedzieć. Dla mnie pozostaną takimi, jakimi widywałam ich w latach naszego jednoczesnego życia. Czasami jawi mi się, na krótką chwilę, krąg znajomych twarzy w brudnożółtym świetle środowego popołudnia. Ich twarze. Rada Inkwizytorów. Zajmują swoje miejsca i tylko ten czy ta, która zasiada właśnie na moim zwykłym miejscu, jest bez twarzy. Jak gdyby przezroczysta. Toczą swoje obrady, które znam, ale nie słyszę, wypowiadają się ważnie, postanawiają. Dla mnie to tylko ruch powietrza wokół ich twarzy. Raz po raz się przed sobą honorują. Wysoka Rada. Czcigodni

członkowie Wysokiej Rady. Za wyjątkiem jednego, może dwóch, niepewne czy trzech – tchórze albo łajdacy, albo też jedno i drugie jednocześnie. Odczuwam mimo wszystko zadowolenie, że nie ma mnie wśród nich. I zdziwienie, że nie chciana, szykanowana, upokarzana, szczerze niezyczliwa wielu spośród nich, zasiadałam z nimi aż do ostatecznej katastrofy.

Nie ma mnie nigdzie. W powietrzu ani na ziemi. Nie ma mnie nad znajomym jeziorem, ani nad brzegiem morza, którego koronkami bramowane fale rozmywały ślady stóp, za którymi szłam. Nigdy ich nie odnajdę.

Nie ma mnie w lesie, w żadnym ze znanych mi lasów, wielozielonych i wielozłotych, gdzie ptaki nie muszą już przestrzegać ptaków przed zbliżaniem się moich kroków.

Musiałam zrozumieć wreszcie, że niebycie w miejscach własnych jest śmiercią, a jeśli nawet nie kliniczną, zwykłą i trywialną, to różnice terminologii i nomenklatury pozostają tu bez istotnego znaczenia. Umarłam 5 czerwca 1970 roku, a wszystko, co znalazło się poza granicą tej daty, należy do mojego istnienia poza życiem. Schwytałam się oto w pułapkę między śmiercią a niezyciem. Unikając śmierci fizycznej i niedwuznaczej, która jest naturalnym przeznaczeniem każdego organizmu żywego, a mnie przeznaczona była w sposób szczególny, prawem określony, choćby to nawet było prawo szatana, wybrałam tę nonsensowną, przetrwalnikową egzystencję w obcym kraju.

Wiele lat musiało minąć, zanim się jakoś w tej nowej formie egzystencji zdołałam odnaleźć i w jakiejś własnej niszy, jak w dziupli zagnieździć. Jeszcze więcej czasu potrzeba było, ażebym zdołała odnaleźć sens i wartość mojego trwania pomiędzy śmierciami. Zanim to jednak nastąpiło, musiałam odbyć długą wędrówkę przez kręgi mojego najzupełniej osobistego, własnego piekła.

Tęsknota, jak malaria, skoro zostało się nią raz dotkniętym, przychodzi napadami. Tęsknota miejsc okazała się tylko pierwszym, przedwstępnym stadium jej objawów. Szła za nią tęsknota za melodią mowy, za jej dźwiękami wokół siebie. Im bardziej rozumiała stawała się mowa tubylcza, tym intensywniej odczuwałam jej inność, jej ubóstwo, obcość jej brzmień, jej narzucającą się wszechobecność. To była mowa tych nie chcianych, przypadkowych miejsc, w których dopełniały się moje kolejne dni, mój własny, wszystkiemu otaczającemu obcy, czas.

Kiedy przyszła pora, aby urządzić się i zadamawiać w pustym mieszkaniu obcego miejsca, opadała mnie tęsknota za rzeczami porzuconymi. Zdana na standardowe seryjne meble i tanie przedmioty użytku domowego, nabywane na spląty, zaczęłam odczuwać brak

rzeczy domowych, swojskich, dobrze znanych, pamiętanych z dni powszednich i różnych rodzinnych okazji. Wydaje się nieprawdopodobne, że miało się kiedyś „rodzinne okazje”!

Raz po raz nachodziły mnie biedermeierowskie złociste sekretery i stoły o nogach w kształcie liry i ciemne dębowe półki i zwykle kuchenne kredensy. Nachodziły mnie stare karafki i codzienne zwyczajne szklanki i fajansowe przyjazne kubki. Powracały stare zegary, które przetrwały wojnę, ale teraz okazały się zbyt szacowne (napisano: „nie pozbawione wartości artystycznej”), aby mogły towarzyszyć mi w drodze i odmierzać, wyznaczać, wydzwaniać czas mojego niezycia. Nachodziły mnie, pobrzękując, stare srebrne łyżeczki, czerwono-pobłyskujące kiedyś w szklankach mocnej herbaty. Szklanki były wtedy większe. Przypominały się spodeczki do konfitur z wiśni i wielka patelnia, na której wysmażało się je w porze letniej („11/2 kg cukru na 1 kg owocu...”). Przypominały się różowe posagowe kaszpoty mojej babki, ponad stuletnie, znakiem Kuzniecowa skazane na pozostawienie ich swojemu losowi. Drobiazgi z czeczotowej serwantki. Wazonik z Murano. Rozkwiecione wazoniki Galleè. Pamiątki niegdyś komuś przez kogoś kochającego lub bodaj tylko życzliwego ofiarowane. Tabakierka pradziadka inkrustowana czarną i niebieską emalią i jego fajka, przechowywana pieczołowicie, stracona na zawsze, z pianki morskiej, ze wspaniałą na długiej szyi cybucha głową końską. I rzeczy zwykle – garnki kamionkowe, makutra, moździerz, kubek w wianuszku róż, wielki półmisek z niezapominajkami, moje wojenne zdobyczne talerze, odwieczne pudełko na kakao z powtarzającym się w nieskończoność wizerunkiem szarytki. Znajomy w najdrobniejszych szczegółach wzór dywanu, który nie mógł dzielić mojego uchodźstwa, sam uwieziony kiedyś z dalekiego kraju.

Te wszystkie rzeczy nie były mi oczywiście, w obecnych warunkach, w ogóle potrzebne, ale nie znając ich losu, tak jak nie znałam własnego, tęskniłam za ich obecnością. Brały mnie w swoją moc, przypominały się, jak gdyby dopominały się pamięci. W niektórych momentach czułam się osaczona przedmiotami porzuconymi, jak gdyby to były żywe, skrzywdzone istoty. Zapragnęłam wreszcie uwolnić się za wszelką cenę od tyranii rzeczy martwych. Jedno tylko pozostawało mi do zrobienia. Długo zbierałam siły, sprężałam się w sobie, aby rozniecić wielki, wszechogarniający pożar. Powtarzałam sobie, że większe majątki, cenniejsze skarby sztuki, księgozbiory i pamiątki stały się pastwą ognia i z zajadłą systematycznością paliłam mój dom.

Musiałam właściwie spalić wszystkie moje dotychczasowe domy, wszystkie zachowane w pamięci miejsca mojego poprzedniego życia. Musiałam spalić schody, poręcze, ramy okienne, podłogi, obrazy ze ścian, dywany i kilimy, zawartość szaf i kredensów. Z sykiem skręcały się tapety, wybierane przez moją matkę, i zwęglały jej ręką robione franki.



Czego nie spalił Wrzesień 1939, spopieliłam sobie w latach 1972-1973

Paliłam meble, dorzucałam do stosu zawartość szuflad i szkatulek. Paliłam książki wygarnięte z półek, klasery mojej matki – zbiory wielu dziesięcioleci. Rozpadały się kaflowe piece, wyżarzały się skręty metalu, trzeszczało pękające rozbite szkło.

Paliłam ściany mojego domu, z którego wyniesiono trumnę mojej matki, a w kilka lat później właśnie te cztery skrzynki z rzeczami, które wolno mi było zabrać na niewiadome drogi wygnania.

Obiegałam pamięcią wypalone pokoje, aby to i owo, nagle przypomniane, dorzucić do ognia, aby sprawdzić, czy coś jeszcze nie uszło mojej uwadze. Nie spoczęłam, dopóki tego dzieła zniszczenia, doszczętnego spopielenia w sobie, nie doprowadziłam do końca. Odniosłam zwycięstwo nad rzeczami, ale nie było ono łatwe.

O ile uporanie się z pamięcią rzeczy martwych leżało jeszcze w mojej mocy, o tyle czułam się zupełnie bezsilna wobec natarczywości obsesyjnie napastujących mnie pytań:

- Jak mogłam zdecydować się na coś podobnego?
- Jak mogłam pozwolić doprowadzić się do tego?
- Co ja tu właściwie robię?
- Jak mogłam?

I wreszcie: – Za co mnie to spotkało? – bo nie można było zaakceptować własnej obecności w tych cudzych miejscach bez podejrzenia, coraz bardziej przechodzącego w pewność, że stanowi ona karę za popełnione winy. To było jedyne, co mogło nadawać jej w ogóle jakikolwiek sens. To nie cudze winy wobec mnie, żadna czyjaś nikczemność czy obojętność była tu istotna. Nie moje krzywdy mogły się tu liczyć, ale krzywdy przeze mnie wyrządzone.

– Za co mnie to spotkało?

Szukanie odpowiedzi na raz postawione pytanie prowadziło mnie w coraz głębsze kręgi mojego osobistego piekła. Można by ten stan, w którym się pogrążałam coraz bardziej, nazwać wyrzutami sumienia. Ja go określam jako przerażenie sobą. Narastające z każdym dniem bezsensownego trwania i z każdą bezsenną nocą.

Obrazy wypęłzały jak plugawe robactwo z coraz większych mroków i zachyłków pamięci. Było tak, jak gdybym, bez możliwości zatrzymania się albo zawrócenia z drogi, zdierała warstwa po warstwie kory mózgowej i dogrzebywała się w niej coraz ciemniejszych, coraz bardziej haniebnych plam.

Dokonywałam tej wieloczasowej autowiwsekcji bez premedykacji ani znieczulenia, albo też ona sama, raz uruchomiona, dopełniała się we mnie. Obrazy przeszłe wracały z całą szczegółową wyrazistością i udziwnione, spotworniałe, przemieszane, ze zwielokrotnioną jeszcze mocą jawiły się w koszmarach sennych.

Schodziłam w głąb siebie, na jawie i we śnie i jeszcze jakimś innym, pośrednim stanie urojeniowym czy tylko przedsennym.

Wracały obrazy, myśli, wyobrażenia, które musiały zawsze tkwić we mnie, ale nigdy dotychczas nie dochodziły do mojej świadomości.

Wracały w sennych widzeniach, albo na samej ich granicy, moje lasy konwaliowe, jagodne i grzybne, ale wracały inaczej. Wiało od nich wilgotnym chłodem katakumb. Wiało od nich zapachem świeżej krwi. Budziły mnie ze snu, w który zapadałam z wielkim trudem, krzyki tysięcy gardeł, wycia szaleńczego chorału. I przebudzona tak, zadawałam sobie pytanie, gdzie byłam, gdy oni szli tymi lasami i układali się w ich rowach, warstwa na warstwie, warstwa na warstwie? Idąc rzucali za siebie biżuterię i wpółprzedarte banknoty, które potem, klejem z mąki zlepione, przynosili chłopci na zapłacenie zaległych podatków, w urzędzie, w którym ja wtedy ważnie siedziałam za jednym z biur.

Co robiłam, gdy umierano wokół mnie? Wiem. Piłam wódkę, grałam w karty, śmiałam się hałaśliwie, powtarzałam stare dowcipy, chodziłam na romantyczne spacerunki po cmentarnej alei.

Ci sami wrócili do mnie, w rok później, czarnym cuchnącym dymem, gdy gnijącą treść rowów palono na wielkich stosach.

Teraz wracali jeszcze raz, nieznani, choć mógł być między nimi ktoś, kogo znałam. Bez twarzy. Tysiącami. Czym wracali? Czy tylko dymem i smrodem? Czy także oskarżeniem? Drwiną? Pytaniem, które nigdy nie zostało postawione?

Złym snem nadlatuje, unosząc się tuż nad ziemią, czarno-biała chusta synowej wioskowego krawca, wlokącej za sobą dwoje, nie nadążających do śmierci dzieci. To oczywiście nie jest sen. Ja tego po prostu nigdy nie przestałam widzieć i to tylko tak wyglądało jak gdyby ona frunęła. Snem są natomiast szewcówny z błonia, które kłaniają mi się, trzymając się za ręce – ta starsza szczęśliwie zamarznęta w dworskim stogu i ta druga, którą zastrzelił znajomy policjant. Mój znajomy, znajomy moich znajomych, mąż znajomej nauczycielki. Wydaje mi się, że chcą mnie o coś zapytać.

Snem uporczywym i powracającym stary Żyd, okryty brudnym starganym tałesem, wypada zza płota i wygraża mi pięścią. Ja go wtedy, gdy tak leżał pod płotem szkolnego podwórka w miasteczku Sobolewie przykryty brudną chustą, wzięłam za kobietę. Nawet rozdeptane, męskie półbuciki sterczące spod rogu chusty nie wyprowadziły mnie z błędu. Bywało wśród biedoty wsi i miasteczek, że stare kobiety donaszały na obrzękłych obolałych nogach buty swoich mężów czy synów. Dopiero widok rąbka prążkowanej skarpetki wyprowadził mnie z błędu i nachyliwszy się nad nim, w ten piękny pogodny dzień kwitnienia bzów, rozpoznałam, że chusta jest modlitewna. Grozi mi za tę dawną, pośmiertną zniewagę.



Zarząd Gminy Melgiew w roku 1944 (pierwsza posada). Stoją od lewej: zastępca sekretarza Stanisław Ludwiński, Stanisław Śliwiński, inspektor dostaw kontyngentowych Rubaszkievicz, agronom gminy Szawłowski. Siedzą od lewej: Stanisława Majewska, Wanda Skoczowska, sekretarz Roman Wrześniński, komisaryczny wójt Jan Orzechowski, Maria Siuda, Krystyna Modrzewska, Marian Chmielecki



Na odpuscie w dzień św. Wita w Melgwi, 16 maja 1941 roku. Od lewej: Autorka i Maria Siuda.



Z koleżankami z Zarządu Gminnego w Melgwi, rok 1941. Od lewej: Autorka, Maria Siuda i Stanisława Majewska

Raz po raz powracało we śnie, albo tuż na jego krawędzi, rosnące dudnienie pociągu, który musi przejechać przeze mnie. Stałam się szynami przyśrubowanymi do drewnianych podkładów toru. Szły przeze mnie długie składy bydłęcych wagonów. Pociąg za pociągiem. Dniem i nocą. Stałam się torem wszystkich transportów śmierci. Nie ma mnie w żadnym z tych wagonów – one tylko przechodzą przeze mnie.

Czasem otwierają się bezgłośnie drzwi mojego mieszkania, które zamknęłam przecież na dwa zamki i snem wchodził, jak gdyby nadpływał, szkielet ludzki obciążony szarą skórą. Nie mogę udawać, że go nie poznaję. To on konał pod progiem knajpy, w której jadłam kiedyś obiad w towarzystwie, które wtedy wydawało mi się miłe i interesujące. Tak było naprawdę – 3 lutego 1941 roku. Szkielet pyta, czy smakował mi sznycel po wiedeńsku i czy byłam zadowolona z deseru? Żąda odpowiedzi, chichocze nade mną. Budzę się z rozdygotanym sercem, zapalam światło i zadaję sobie pytanie, kim ja właściwie jestem? Kim byłam, jeśli ten sznycel po wiedeńsku, te frytki, ten deser przeszły mi wtedy przez gardło?

Najbardziej dręczące są sny o twarzach dobrze znanych i te od jakiegoś czasu powtarzają się coraz częściej. Na balkon domu, którego nie ma, wychodzi, bardzo kochana przez nas wszystkich, ciocia Justynka, nie siada w wyplatany fotelu naprzeciwko mnie, jak to zwykła była robić, nie pociesza mnie, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wyrwano mi ząb, tylko nalega, żebym poszła poszukać jej wnuczkę. Teraz? W nocy? Co to za dziwne żądania?!

– Gdzie jest Wandzia? – powtarza z roztargnieniem – gdzie może podziewać się Wandzia? Tak długo? – Stoi w progu, ale po chwili już jej tam nie ma, wiem jednak, że kiedyś znów do mnie wróci, przyjdzie, aby szukać dalej, aby raz jeszcze przypomnieć mi swoją zabitą wnuczkę, o której zapomniałam w 1942 roku. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie pomyślałam wtedy o Wandzi, ani o jej matce Halinie, ani o Geni? Nie chodzi już o to, że nie uratowałam ich życia. Może nie zdołałabym, może Genia nie opuściłaby ojca, a Halina Mietka. Na pewno nigdy nie liczyli na mnie. Wątpię, aby myśleli o mnie. Nie zawiodłam ich, ale ważne, dla mnie teraz stało się dręcząco ważne, że ja o nich nawet nie pomyślałam. Przecież to była moja rodzina. Czy nie czułam żadnego przywiązania do nich? Żadnego niepokoju? Niczego? Czy w ogóle kochałam kogokolwiek poza sobą? Czy ratowałam życie innych, obcych ludzi z próżności, z zarozumiałstwa, z tamtego czasu mojej zawadiackiej, młodojeckiej chęci pokazania, co to ja mogę?! Podejrzewam się o to.

Mam podejrzenie jeszcze cięższe od tego. Żyję z nim od lat, raz po raz, w miarę możliwości, odpycham je od siebie, ale powraca, zawsze powraca, a teraz dochodzi do głosu ze wzmożoną siłą. Ktoś jednak liczył na mnie, czekał na mnie 8 sierpnia 1942 roku. Czy rzeczywiście spóźniłam się? O jedną godzinę? O dwie? Może o dziesięć minut? I czy rzeczywiście tak było? Nigdy się tego nie dowiem.

Jest inna jeszcze pora, która nawiedza mnie szybującą pochodnią, ulatującym zniczem. Piękny wiosenny dzień. Ja w swoim gabinecie, w skórzanym fotelu za masywnym biurkiem. W miarę ważna, w miarę przyjacielska wobec pani S., knajpiarki, która opowiada ostatnie nowiny i wrażenia ze stolicy. O „Żydogradzie”. Bardzo dowcipnie. Koleżanki ubawione, śmieją się.

– Taka czarna, rozkudłana, cała w płomieniach, skoczyła z balkonu... Mówię wam, istna komedia. – A ja za biurkiem, rozparta wygodnie, słuchająca uprzejmie. Był kwiecień 1943 roku.



Z podchorążym Armii Krajowej rejonu „Ryba” Ignacym Przybylskim ps. „Ira”, rok 1942



Starszy strzelec AK „Kret” na spotkaniu w łaskarzewskiej melinie, rok 1943

Koszmarem sennym spotykam najstarszego z moich radomskich kuzynów na moście islandzkim. Bardzo źle wygląda. Nie poznajemy się, czy też udajemy, że się nie znamy. Czuję zdziwienie. Był czas, że poznawanie się było niebezpieczne, ale teraz? Po wojnie? Nagle nie mam pewności, czy to już rzeczywiście jest po wojnie. On niesie worek na plecach, niezbyt chyba ciężki, a ja wiem, że niesie w nim swoje dziecko. Nie mogę, w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć czy on ma (miał?) syna czy córkę. Musiałam to chyba wiedzieć, a teraz nie mam się kogo zapytać. Zaczepiam Alfa, który umarł przed rokiem, ale nagle tu się skądś znalazł, ale i on nie wie. Mówi, że może będą wiedzieli na Kilińskiego. Kto

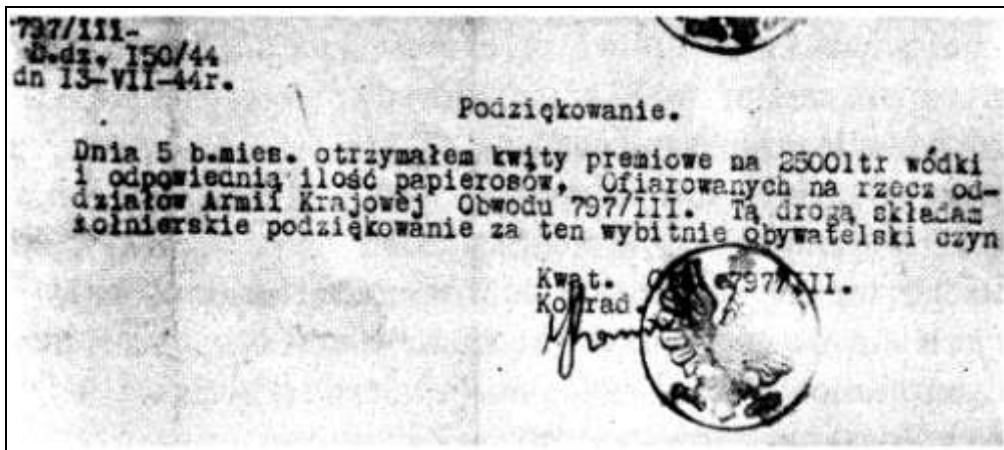
kiedykolwiek mieszkał na Kilińskiego? Chciałabym także wiedzieć, choć nie jestem pewna po co, kto mieszkał na Moniuszki, na parterze?

Snów nie można spalić, nie można ich w sobie unicestwić, nie można się przed nimi ustrzec, ani wyprzeć się ich treści. Na niewiele by się to zdało. Szukam ratunku w próbie zrozumienia ich, a także tego ich opóźnienia się o blisko trzydzieści lat. Dlaczego nie nawiedzały mnie nigdy przedtem? Przez te wszystkie ubiegłe lata? A może nachodziły mnie już dawniej, ale jakiś samoobronny mechanizm wewnątrz mnie odsuwał je w najodleglejsze zapomnienie?

Czy potrzeba było aż takiego ciosu prosto we własne życie, żebym zdała sobie sprawę z tego, jak mało było w nim miejsca dla innych ludzi? Czy trzeba było aż takiego wstrząsu, takiej – na miarę jednego życia kosmicznej katastrofy – aby obudziło się we mnie coś, co zwykle nazywać się sumieniem?



Co robiłam, gdy umierano wokół mnie? Rok 1943. W gościnie u miejscowego organisty



Na kilka dni przed końcem...

Nie mogłam nie zauważyć, że te wszystkie niepokojące obrazy, wyłaniające się z głębi pamięci, z różnych jej pokładów, rozszczepiają mnie niejako na dwie różne osoby. Znajduję się w samym ich centrum jako źródło tych wszystkich przeżyć i przypomnień, a jednocześnie nie biorę w nich udziału. Stoję na boku – bierny obserwator nie uczestniczący w przebiegu zdarzeń, w ich dopełnianiu się. Ale czy tak właśnie nie było? Rejestrowałam zdarzenia, przyjmowałam w siebie ich treść, ale nie było mnie w nich.

Oczywiście, pozostawał mi szeroki margines uzasadnień, wyjaśnień, usprawiedliwień, gdybym chciała z nich skorzystać. Mogłabym przecież próbować uśmierzyć to tzw. sumienie argumentem mojego młodego wieku w porze powracających teraz zdarzeń, bezsilnością wobec mocy zła, nieświadomością całych jego rozmiarów i ostatecznych celów. Mogłabym powiedzieć sobie, że bardzo małe i ograniczone były moje możliwości działania i że wszystkie one mogły wiązać się z ryzykiem śmierci innych ludzi. Ale byłyby to argumenty wystarczające i niewątpliwie przekonujące dla innych. Tylko ja znam całą prawdę i wiem, którejdy przebiegała granica moich możliwości i zaniechań.

Jednocześnie, nie otrząsając z siebie, nie umniejszając swoich wojennych przewinień, jeśli nimi były i jakiegokolwiek one były, nie uchylając się od ciężaru, jaki one na mnie nakładają, wiem, że nie w nich tkwi odpowiedź na postawione sobie pytanie:

– Za co mnie to spotkało?

Stawiam więc to pytanie raz jeszcze i wiem, że nie zdołam już mu umknąć. Muszę zdobyć się na to. Muszę znaleźć w sobie, w tej elementarnej, boskiej i ludzkiej nieśmiertelności, której stałam się ostatnim naczyniem, dość siły i pokory, aby zejść jeszcze głębiej w mrok pamięci i własnego, jak gdyby budzącego się z długiego hibernetycznego

uśpienia, czasu zaprzeszłego. Powoli – to będzie trwało lata – schodzę w tę ciemność i staję się coraz bardziej przerażona sobą. Tak rozpoczęła się moja spowiedź generalna przed najwyższym trybunałem, któremu zbyteczne jest nadawanie imienia.

Wracały złe myśli, słowa, uczynki i zaniechania z różnych pór i okoliczności życia. Wracały krzywdy wyrządzone ludziom bliskim i obcym, przypadkowym. Wracały ciężkie winy nie rozpoznane w porę lub zlekceważone w samym swoim załączku, tylko pozornie zapomniane. Raz po raz zadawałam sobie pytania: Czy to możliwe? Czy tak rzeczywiście było? Czy to mogłam być ja? Czy mogłam tak postąpić, tak powiedzieć, tak nie dostrzegać innych ludzi wokół mnie? Czy mogłam tak lekceważyć ich sprawy, ich cierpienia, ich troski, którym mogłam czasem, bez większego wysiłku, zaradzić? Nie myślałam wtedy o tym. Nie zauważałam.

– Jak mogłam? Kim ja właściwie byłam?

A w ślad za każdym postawionym sobie pytaniem, szło inne:

— Dlaczego?

Stało się więc konieczne, abym dowiedziała się aż do końca, aż do samego dna, co stanowi moją prawdziwą istotę, a co jest produktem i efektem zdarzeń losowych, których byłam podmiotem. Odrzuciłam wszelkie taryfy ulgowe, jakiegokolwiek okoliczności łagodzące i siebie przed sobą usprawiedliwianie. Znalazłam w sobie dość niezbędnej siły, aby tę wielozasową, okrutną i bolesną autopsychanalizę podjąć i dopełnić. Trwało to lata, podczas których moje zewnętrzne powszednie losy toczyły się z wolna i układały zupełnie nowym, nie dającym się przewidzieć kształtem.

Psychoanaliza zwykła sięgać w głąb najwcześniejszego dzieciństwa, aby tam, w urazach, uczuciowych niedosytach, narastających kompleksach szukać przyczyn późniejszych życiowych konfliktów z otoczeniem i osobistych niepowodzeń i niepokoju. Ja zapragnęłam wejrzeć głębiej jeszcze, w owo biochemiczne dziedzictwo, które niosłam w sobie. Setki tysięcy genów, poszuflakowanych w chromosomach komórek mojego ciała chciałam obarczyć odpowiedzialnością za to, co stało się z moim życiem, za to wszystko, co musiało się w nim zdarzyć. Należało, o ile to tylko było możliwe, zapuścić wziernik genealogii w hipotetyczne losy pokoleń.

Nawykła do systematyzowania badanych zjawisk, dokonałam w myśli pierwszego ich podziału. Nic z tego, co było we mnie złe, albo ku złemu skłaniało, co paliło mnie teraz wyrzutami sumienia, trawiło goryczą zbyt późno rozpoznawanych win, nie mogło przyjść do mnie z genami matki. Nie było w mojej świadomości ani pamięci, jak daleko mogłam w nią sięgnąć, niczego, do czego mogłabym odnieść własne wady i braki, własną wątpliwą jakość

moralną. Z kręgu wokół mojej matki, spośród jej najbliższej rodziny, przyjaciół, znajomych, których spotykałam, zachowałam w pamięci ludzi pięknych w sensie postaw moralnych, prawych i prostolinijnych, autentycznie przyjaznych otaczającemu światu.

Sięgając poza indywidualną empirię wiedziałam mało, ale poczuwałam się teraz, jak nigdy dotąd, do duchowego powinowactwa z tą odrobiną udokumentowanej historii rodziny. Wywodzili się z kapłańskiego rodu ludzi ksiąg i praw bożych, sprawiedliwych między ludem, który nauczali, sędzili i z którym dzielili tułacze losy. Na XVII wiek przypada szczyt sławy rodziny w dziejach myśli talmudycznej. Sekularyzację przyniosła dopiero połowa ubiegłego stulecia, ale nawet, mniej lub więcej zeświecczali, kontynuowali niejako dawne tradycje, świadomie lub nie, przenosząc je ze sfery spraw religijnych i duchowych na zwykły powszedni styl życia.

Wmawiam sobie, że odziedziczyłam po nich spekulatywny sposób myślenia, siłę wiary i głębokie poczucie sprawiedliwości.

Podobnie jak oni stawiali przed sobą pytania egzystencjalnej i metafizycznej natury i szukali na nie odpowiedzi, wychodząc z różnych punktów filozoficznego odniesienia, tak ja atakowałam obserwowane zjawiska życia ludzkiego, biologii populacji i gatunku, hipotezą i empirią.

Siłą ich wiary w prorocтва czasu objawień mierzę swoją wiarę w ich spełnienie. Siłą ich oczekiwania nadejścia Zbawiciela mierzę swoją wiarę w Jego Obecność.

Zmysł sprawiedliwości, do jakiego się poczuwam, stawiał mnie wielokrotnie w moim niespokojnym, chaotycznym życiu, przed trudnymi dylematami. W konfrontacji ze złem miałam zawsze świadomość, nawet jeśli czasem zbyt opóźnioną, że zło jest złem i nie potrafiłam sklasyfikować go inaczej. Żadnych kompromisów, żadnych usprawiedliwień, żadnych półprawd wobec siebie samej i innych. Czasem, choć nie dość często, ta pryncypialność i uczciwość, nie moja własna, nie wyrozumowana ani zdobyta doświadczeniem, lecz podarowana dziedzictwem, zatrzymała mnie na drodze nieprawości. Nie dość często. Nie najlepiej zarządzałam tym spadkiem.

Nie odziedziczyłam talentów, które doszły do głosu w dwóch przynajmniej poprzedzających mnie pokoleniach. Nie odziedziczyłam ich wybitnej muzykalności, ani zmysłu estetycznego i szczególnego zamiłowania do rzeczy pięknych.

Zabrakło w mojej strukturze psychicznej owej potrzeby więzi rodzinnej, która cechowała członków rodziny mojej matki, zawsze o sobie pamiętających i w jakimś stopniu mogących wzajemnie na siebie liczyć. Kto mógł liczyć na mnie?...

Co odnajdywałam w sobie pochodzenia ojcowskiego? Niewiele wiedziałam o tym pochodzeniu, przypuszczalnie częściowo chazarskim, z przemieszaną w kolejnych krzyżówkach krwią tatarską, żydowską, a nie wykluczone, że i ormiańską.

Odnajdywałam egoizm i egocentryzm mojego ojca, rzadko dostrzegającego cokolwiek i kogokolwiek poza sferą swoich bezpośrednich zainteresowań. Miałam jego dociekliwość i ciekawość wiedzy, bez jego pracowitości i systematyczności. Miałam jego całkowity brak słuchu i upośledzone, może w nieco mniejszym stopniu, wszelkie zdolności manualne.

Po ojcu i jego rodzinie odziedziczyłam zupełny brak u- czuć rodzinnych, czego nie zmieniły lata dzieciństwa w kochającej się rodzinie mojej matki.

Jako wartość pozytywną odnajdywałam w sobie całkowity brak respektu mojego ojca dla wartości materialnych, cechę, którą najprzypuszczalnie odziedziczył on po swoim ojcu, charakterem i zainteresowaniami krańcowo różniącym się od przedsiębiorczej babki.

Odnajdywałam w sobie bezwzględność i arbitralność babki i jej krytyczny, często lekceważący stosunek do ludzi, bez jej dwulicowości i zdolności do obłudy. W wojennej potrzebie znalazłam też w sobie jej wyjątkową zdolność szybkiej orientacji oraz talent do spekulacji zgoła nie duchowej natury. Moja szczególna pomysłowość i obrotność w działalności sabotażowej na tyłach Armii Krajowej zyskała mi z czasem przydomek *oberkantenmacher*, co niewątpliwie ogromnie imponowałoby mojej babce.

Nie mogę, choćbym tego szczerze chciała, pominąć w tych genetycznych rozważaniach osoby młodszego brata mojego ojca. Odnajduję w sobie zbyt ważne cechy, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, które mogłabym odnieść do tego stryja. Odziedziczył on niskorosłość dziadka, która i mnie przypadła w udziale.

Przypominam sobie, że w wieku 15 czy 16 lat, kiedy rodzice wieczorem wychodzili do kina, przebierałam się czasem w jeden z garniturów ojca i chodziłam w nim po pustych pokojach, zasiadałam w fotelu przy radioaparacie i pogrążałam się w dobrym samopoczuciu. Nie starczyło mi odwagi do wyjścia z domu, ale raz odważyłam się na odwiedzenie babki, która mieszkała wówczas w tej samej klatce schodowej. Zachnęła się gwałtownie na mój widok i na wielkie, jej zdaniem, podobieństwo do stryja.

– Zupełnie... zupełnie – powtarzała raz po raz – ta figura i te ruchy...

Nie była to „figura” imponująca i oboje kompensowaliśmy jej braki w podobny sposób – przerostem osobistych ambicji w różnych sferach życia i krytycznym (jak gdyby profilaktycznie) stosunkiem do otoczenia. Byliśmy w podobny sposób egoistyczni i bezwzględni. Miałam podobną skłonność do dyletantyzmu, bez jego skłonności do

hochsztaplerstwa i karierowiczowstwa. W pewnym okresie, jako wizytator szkolny, wykazał się odrażającą, całkowicie mi obcą oportunistyczną nadgorliwością.

Wydaje mi się możliwe, że oboje otrzymaliśmy w genetycznej spuściźnie zainteresowania, a nawet pewne zdolności literackie. Uchodził za najlepszego polonistę szkolnictwa średniego międzywojennej Warszawy i jako taki udzielał prywatnych lekcji historii literatury polskiej córkom Marszałka. Rozwijając swoją powojenną karierę w Paryżu, na gruncie UNESCO, nie wykazywał chęci kontaktu z rodziną. W tej rodzinie było to całkowicie normalne. Mnie przecież również nie przyszło na myśl go odwiedzić, albo bodaj napisać o losie jego matki i brata.

Można by tę analizę genetycznych stwierdzeń, przypuszczeń i domniemań ciągnąć bardzo długo, ale ograniczam się tu do właściwości, które uważam w sobie za najistotniejsze. To wszystko przy założeniu, że cechy nabyte nie podlegają dziedziczeniu, bo jakich to należałoby się spodziewać, z jakimi liczyć wśród piętnowanych i prześladowanych od pokoleń, pogardzanych, wyganianych z niezliczonych miejsc zaledwie zaczęli się w nich zadomawiać, zmuszanych do ukrywania się, zapierania się siebie, podstępów i matactw?! Jakimi drogami szła selekcja poprzez stulecia? Nie najlepsi przeżywali kataklizmy dziejowe. W kataklizmie moich czasów nie prawość charakteru, talenty czy walory intelektualne decydowały o przeżyciu, ale mało ważne cechy fizyczne, spryt, bezwzględność, przypadek, miłość innego człowieka, który gotów był narażać własne życie, albo jego chciwość, dopóki mogła być zaspokajana.

Na ten hipotetyczny, genetycznie uwarunkowany grunt zaczęły nawarstwiać się zdarzenia z czasu poza moim urodzeniem się.

Urodziłam się w Warszawie, w niedzielę, śmiejąc się. Te trzy okoliczności zawsze wydawały mi się ważne. Pierwsza napęłniała mnie dumą i zawsze, ilekroć zdarzało mi się czy zdarza powiedzieć:

– Urodziłam się w Warszawie – czuję napływającą falę gorącej pychy, jak gdyby było to moją osobistą zasługą, a nie szczęściem losu.

„W niedzielę urodzeni” to sybaryci, bardziej skłonni do uciech życia niż do systematycznej pracy. Nie było to całkowicie obce mojemu usposobieniu i moim skłonnościom, które niewiele miały okazji do urzeczywistnienia się.

Po tym pierwszym, wstępnym rzecz można, śmiechu miałam do niego zawsze szczególną łatwość. Gotowość do radości, łatwość cieszenia się bywała aż nazbyt często gaszona przez życie, ale małą iskierką ćmiła się najwidoczniej zawsze, skoro nie wygasła doszczętnie, mając ku temu wiele okazji. Śmiech czułam jak gdyby pod skórą.



Urodziłam się w Warszawie, w niedzielę, śmiejąc się...

Pierwszym uczuciem negatywnym, z którego genezy zdaję sobie sprawę, była zazdrość. Obecność mojego brata, o osiem lat starszego, wisiała nade mną jak ciężka chmura, przysyłająca uwagę i uczucia otoczenia, do którego rościłam sobie wyłączne prawo. Było to uczucie tak silne i trwałe, że przybierając w dalszym życiu różne formy, nigdy mnie nie

opuściło. Zazdrość stała się najtrwalszą komponentą mojego życia uczuciowego. Przenosiła się na inne obiekty i padała nieznośnym ciężarem na wszystkich, którzy stawali mi się bliscy.

Z okresu wczesnego dzieciństwa przypomina mi się także rodzące się uczucie niepokoju czy przekory i jakiejś swoistej ambiwalencji, która jednocześnie pociągała mnie i odpychała od innych dzieci. Pamiętam małą dziewczynkę, którą nazywano Norką, tak małą, że nie widać jej było spoza balasek balkonu na I piętrze. Ja, która byłam od niej niewiele starsza, również nie sięgałam głową poręczy balkonu, ale widziałam ją dobrze i zawsze słyszałam, kiedy wołała prosząco:

– Krysiu! Krysiu!

Udawałam, że nie słyszę, nie patrzyłam w jej stronę, albo robiłam to ukradkiem, kiedy już przestała mnie przyzywać, najwidoczniej zawiedziona w nadziei na jakąś wspólną zabawę, na którą nie miałam ochoty. Nie odezwałam się nigdy, a jeśli czasem, jak mi się to teraz wydaje, miałam nawet chęć to zrobić, to jakiś silny wewnętrzny opór nie pozwalał mi na to.

Niezapomniana Florcia, z domem moich dziadków zrośnięta przez prawie półwiecze, słyszała czasem te daremne nawoływania Norki i dziwiła się:

– Co to za dziecko takie niedobre, takie „dumne w sobie”...?

Nie wiem, o ile trafne były te spostrzeżenia, ale leżały gdzieś pomiędzy prawdami.

Przypominam też sobie, choć właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że odpowiadałam zazwyczaj odmownie, kiedy w Ogrodzie Saskim podchodziła do mnie jakaś dziewczynka i powszechnie wtedy przyjętym zwyczajem pytała grzecznie:

– Dziewczynko, czy chcesz się ze mną bawić?

Odpowiadałam odmownie, nierzadko burkliwie, nawet wtedy, gdy czułam wyraźną ochotę na wspólną zabawę „w klasy”, „w sklep”, „w doktora”, albo co tam wtedy mogło być. Najchętniej bawiłam się w „policjantów i złodziei” z masą ścigania się, ukrywania i wzajemnego „przechytrzenia”, ale do tego byli potrzebni znajomi chłopcy, Kazio albo Tolek, którzy nie zawsze się trafiali. Najczęściej bawiłam się więc sama, zależnie od pory roku, namiętnie zbierałam kasztany i kolorowe jesienne liście, lepiłam, nie najzgrabniejsze, bałwany ze śniegu, wiosną i latem robiłam łuki z witek bzu i miecze z liści irysów, a także... wyobrażałam sobie. Właśnie wtedy, kiedy matka, nie znosząca bezczynności, zwracała mi uwagę:

– Zajmij się czymś. Nie można tak siedzieć bezmyślnie... – myślałam bardzo intensywnie i zagłębiałam się w moich wyobrażeniach, z których pamiętam dziś tylko tyle, że byłam w nich kimś innym, kimś od siebie ważniejszym, albo znajdowałam się w innym miejscu. Były

to przypuszczalnie echa i kolaże bajek i opowiadań, książek, które mi czytano, a potem które ja sama czytałam, przypadkowo zasłyszanych rozmów, a czasem także lektur szkolnych mojego brata. Tak więc, kiedy on z jakimś kolegą omawiał zadany temat z sienkiewiczowskiej trylogii, ja dosiadałam konia w postaci wałka u starej kanapy i czułam się po bohatersku („Przybywajcie dzicy ordyńcy! Przybywajcie niecni Szwedzi!”). Kiedy indziej, gdy powtarzano „wojny napoleońskie”, na tymże rumaku czułam się po cesarsku, a moje samopoczucie wzmagał dodatkowo trójgromny kapelusz złożony przez dziadka z „Kuriera Warszawskiego”.

Nie zawsze jednak moje wyobrażenia i nastroje bywały tak euforyczne. Popadałam czasem w stan jakiegoś przygnębienia, niezadowolenia czy niepokoju. Wydawałam się sobie samej bardzo niezdarna i nikomu niepotrzebna. Matka określała to jako „nierówny charakter” i intuicja podszeptowała jej jakieś niejasne powody do zaniepokojenia.

Matka usiłowała „zająć” mnie również w sposób tradycyjny i praktyczny. Powierzała mi mianowicie obowiązek wyszywania „łańcuszkiem” jej monogramu w rogu ścierek. Wypisywała litery ołówkiem i te, początkowo jeszcze mi nie znane znaki musiałam ściśle pokrywać czerwoną nitką ściegu. Ponieważ w ogóle tajemniczość liter wcześniej zaczęła mnie intrygować, chętnie poświęcałam się temu zadaniu. Intrygowała mnie współzależność pomiędzy znakiem a dźwiękiem, który on reprezentował, i napastowałam wszystkich członków rodziny pytaniami o dźwięki innych znaków i tą drogą sama nauczyłam się czytać. Pisanie przyszło mi jeszcze łatwiej, było ciekawsze, bo trzeba było te znaki rysować, a potem dowolnie ustawiać i przestawiać, co było prawdziwą przyjemnością. Podręcznik Mariana Falskiego stał się czymś w rodzaju Biblii mojego dzieciństwa.

Kiedy Reymont w 1924 roku otrzymał nagrodę Nobla, a w domu i w całym moim otoczeniu żywo dyskutowano na ten temat, moja wyobraźnia nie próżnowała, a ponieważ od niedawna umiałam już pisać, zapytywałam matkę, i l e kajetów trzeba wypisać, żeby taką nagrodę dostać. Obawiam się, że ogromna większość moich wyobrażeń była podobnie nierealna.

Poza tym lubiłam rysować i – aby nie zaprzepaścić tego ewentualnego talentu (lekcje muzyki okazały się zupełnym fiaskiem. Także lekcje rytmiki), pobierałam regularne lekcje rysunków, które, zarówno jak i osobę nauczycielki, ogromnie lubiłam. Talent się wprawdzie nie ujawnił, ale lekcjom tym wiele zawdzięczam. Przede wszystkim nauczyłam się rysować, kilkoma kreskami, ludzi we względnie prawidłowych proporcjach i fizjologicznie możliwym ruchu. Następnie pojęłam wstępne zasady perspektywy, rysując w nieskończoność wnętrza pokoi. Trzecią zdobyczą tamtego czasu była umiejętność narysowania konia. Było to dla

mnie bardzo ważne, bo w domu wszyscy lubili konie, o koniach czytało się opowiadania, dziadek awanturował się z dorożkarzami i woźnicami, kiedy tylko zauważył na ulicy maltretowanie zwierzęcia. Wzrastając pod tymi wpływami, nie przechodziłam i ja obojętnie koło żadnej szkapy. Tak więc zdarzyło się, że na którejś lekcji zaprezentowałam nauczycielce rysunek konia w stanie erekcji.

– Tak koń nie wygląda – oświadczyła nie przygotowana na ten widok, a jeszcze bardziej na konieczność interpretowania go.

– Ale ja widziałam – upierałam się, bo rzeczywiście zaobserwowałam na pobliskim postoju dorożek jakiegoś biednego wałacha, któremu się „coś przypomniało”.

– To musiał być chory koń – oświadczyła kategorycznie nauczycielka i kazała mi starannie wytrzeć gumką okazały narząd.

– Eureka! – zakrzyknęły radośnie chór psychologów – *Phallus-Komplex!*

– Nic podobnego. Po prostu, spostrzegawczość. Kompleks przyszedł znacznie później.

Do moich corocznych zajęć, które niejako rosły razem ze mną, należał również udział w przygotowywaniu ozdób choinkowych. Matka uważała, że poza gwiazdą na szczycie choinki, szklanymi kolorowymi bombkami i lichtarzykami, przechowywanymi z roku na rok, ozdoby mają być robione w domu, własnoręcznie. W najwcześniejszym okresie mój udział ograniczał się do wycinania pasków wyrysowanych na odwrocie różnokolorowych arkusików tzw. glansowanego papieru i zlepianiu ogniów łańcucha. W trochę późniejszym wieku malowało się srebrną lub złotą farbą uzbierane wcześniej szyszki i żółędzie i skręcało sople z cynfolii po tabliczkach czekolady. Na jeszcze wyższym szczeblu wtajemniczenia uczestniczyłam w wyplataniu koszyczków z rafii, wycinanek i ozdób z jajek, tzw. wydmuszek. Muszę przyznać, że ta ostatnia czynność okazywała się najczęściej ponad miarę moich możliwości manualnych...

Miałam kilka lalek, do których, poza drewnianym Michałkiem, nie czułam głębszego przywiązania i którymi nie zajmowałam się zbyt często. Seniorką wśród nich była Urszula, która przyniosła to imię ze sobą, podobnie jak wszystkie lalki wychodzące ze słynnej kiedyś wytwórni Käthe Kruse. Po ponad półwieczu spotkałam, nie bez pewnego wzruszenia, jej rodzeństwo w sztokholmskim Muzeum Zabawek.

Zwracano mi czasem uwagę na to, że zaniedbuję moje „pociechy”. Wtedy urządzałam im przyjęcie, zmieniałam sukienki, najczęściej jednak układałam je do łóżeczek, gdzie miały przez dłuższy czas chorować.

Poza „wyobrażeniami” były także sny, w jakiś odległy i niejasny sposób z nimi spokrewnione. We wczesnym dzieciństwie miewałam często sny niepokojące i gwałtownie z nich przebudzona, wzywałam matkę okrzykiem: Mnie się śni!

Tylko dwa spośród tych snów pamiętam do dzisiaj. W jednym, w pewnym okresie powtarzającym się, spotykałam milczącego pana z małą szpakowatą szpicbródką, którego uważałam za mojego ojcowskiego dziadka, zmarłego na długo przed moim urodzeniem się. Twarz jego znałam z fotografii na konsolce przy tremie babki. Poza tym niczego wtedy o nim nie wiedziałam. Nie wiem też, dlaczego bałam się go.

Drugi pamiętany sen musiał mieć dla mnie jakieś większe i bardziej osobiste znaczenie. Wywodził się z plakatu zobaczonego (pamiętam ten dzień) przed wejściem do znanego kabaretu artystyczno–literackiego „Qui pro Quo”, nawiasem mówiąc – moim rówieśnikiem, przy ul. Senatorskiej. Zapowiadano *Don Juana* i na plakacie, kolorowo ubrany, a zarazem groźny osobnik wznosił nanizane na szpadę głowy kobiece. Nie wiem, choć przyznaję, że mnie to ciekawi, z kim identyfikowałam się w tych snach, z dziwnym osobnikiem czy z którąś ze zdekapitowanych dam. Nie pamiętam.

– Mnie się śni! – wołałam na cały dom.

Od czasu do czasu śnił mi się, już w znacznie późniejszym okresie dzieciństwa, pan Bazewicz, jeden ze znanych ekscentryków Warszawy, spotykany najczęściej w okolicy Nowego Świata, zawsze w cylindrze i czarnej pelerynie, z olbrzymimi wiechami kruczocharnych wąsów. Robił na mnie wrażenie, ale nie przerażał mnie i nie skłaniał do wzywania pomocy. Wiedziałam również, że ten pan rysuje mapy, co mi bardzo imponowało. W dużo późniejszym okresie uświadomiłam sobie, że byłam być może jedyną entuzjastką kartograficznych wyczynów Imé Bazewicza.

Musiałam w jakiś sposób odczuwać samotność. Matka wspominała, że kiedyś, mijając na ulicy jakąś panią z trojgiem dzieci, westchnęłam: – Jak tym dzieciom musi być wesoło... – Nie miałam jeszcze wtedy skończonych pięciu lat, ale czułam, że nie jest mi dość wesoło.

W tym samym mniej więcej wieku zdobyłam się kiedyś na samodzielny krok włączenia się w krążące koło jakiejś dużej grupy dzieci. Pamiętam dokładnie miejsce, w którym to było – w połowie długości kasztanowej alei. Matka bardzo szybko i stanowczo wyłączyła mnie z tego rozbawionego koła, a później poza napomnieniami, abym się sama zbyt nie oddalała i nie bawiła z obcymi dziećmi, obyły się o moje uważne uszy nie dla nich przeznaczone słowa, których nie zapomniałam: „ochronka” i „świerzb”... Takich to niebezpieczeństw socjalnych i higienicznych obawiała się dla mnie...

Byłam więc dzieckiem samotnym, a także dzieckiem skrytym i złym. Nie wiem, jaki był związek pomiędzy tymi cechami. W zabawach wyczuwałam zawsze słabszego przeciwnika i stawał się on moją ofiarą. Czy wynikało to z wrodzonych cech charakteru, czy ze swoistego, opacznego sposobu przyjmowania wrażeń z otaczającego świata? Czy było dalszym echem przytłaczającej obecności i „ważności” brata, czy objawem wewnętrznych niepokojów, oporów i skłóceń, już wtedy kielkujących? A może był to po prostu odwet za droczenie się ze mną, bardzo zresztą rzadkie, kolegów mojego brata? Zawziętość musiała być we mnie bardzo duża, bo do dnia dzisiejszego pamiętam nazwisko Banaszewskiego, kolegi brata z Gimnazjum im. Augusta Kreczmara, który straszył mnie opowieściami o przychodzących nocą upiorach. Nie chciałam przyznać się do strachu – pogardę dla słabości już musiałam wtedy mieć w sobie – ale nie mogłam zasnąć. Wreszcie zdecydowałam się na wezwanie matki.

– Co ci się stało? Coś ci się przyśniło? Dlaczego nie śpisz?

W dalszym ciągu nie mogłam przyznać się do strachu. Powiedziałam:

– Takiego osła jak ten Banaszewski jeszcze nie widziałam. Miały przyjść upiory, czekam i czekam, a nikt nie przychodzi...

Było we mnie coś niedobrego. Pamiętam, że biłam i popychałam Jasia Wróblewskiego w najciemniejszych zakątkach ogrodu plebanii i groziłam mu jeszcze większymi mękami, gdyby się komuś poskarżył. Znajdowałam wyraźną przyjemność w okazywaniu mojej siły fizycznej. Nie mając innej nad nikim wyższości – brat był przecież doskonałością niedościgłą – potraçałam przechodzące ulicą dzieci, niby niechący (szłam jak taran), ale czasem tak mocno i zdradliwie, że dziecko, nawet prowadzone przez kogoś za rękę, przewracało się, a matka czy babcia musiały przeproszać opiekunkę ryczącej ofiary. Minę miałam bardzo zdziwioną, przybierałam „poker-face”, taką samą, z jaką w 1943 roku wysłuchiwałam lamentów niemieckich urzędniczek starostwa nad bezkarnym grasowaniem „bandytów” (– *Wo sind die Banditen?*), do których miałam zaszczyt zaliczać się.

Dzieci na tzw. komplecie, na który chodziłam od 6-go roku życia, nie lubiły mnie. Nie umiałabym powiedzieć dlaczego, a i one chyba nie potrafiłyby tego wyjaśnić, ale gdy nadarzyła się ku temu okazja, gromadnie „zlinczowały” mnie w łazience (w mieszkaniu Lilki Skowronek). Nigdy nie przyznałam się do tej porażki, ale mocno utkwiała ona w mojej pamięci i nigdy, w późniejszych latach, nie korzystałam z okazji spotkania dawnych kolegów, a przy przypadkowym spotkaniu – „nie poznawałam” ich. Dziś wiem, że nikt tak instynktownie i bezbłędnie nie reaguje przeciwko inności, jak dzieci.

Była we mnie jakaś twardość niedziecięca. Budząc się z uspienia chloroformowego (1927 rok!), po operacji wyrostka robaczkowego, dosłyszałam słowa pielęgniarki:

– Już zaczyna się budzić... troszkę sobie popłacz...

– Jak będę chciała, to nie będę płakać – powiedziałam na progu przytomności. Miałam siedem lat i nie płakałam. Życzyłam sobie jednak, aby mi mój wyrostek oddano, co zostało uwzględnione i przez szereg lat przechowywałam go w słoiku z formaliną i pokazywałam ewentualnie zainteresowanym dwa jego obrzęknięte miejsca, w których widoczne były pestki winogron...

Nie wiem i nie potrafię dziś wyważyć, czy pryncypia i rygory wychowawcze mojej matki miały więcej pozytywnego czy negatywnego wpływu na kształtowanie się mojego charakteru. Pierwszy okres rozwoju mojej osobowości dokonywał się pod hasłami:

– Nie ma „nie chcę”, nie ma „nie lubię” i o nic się nie prosi.

Pierwsza zasada odbierała całkowicie wolną wolę, możliwość współdecydowania w jakichkolwiek sprawach i okolicznościach powszedniego życia, zakładała, że inni, tzn. starsi, wiedzą wszystko lepiej.

Druga zasada dotyczyła głównie jedzenia, którego nie wolno było „nie lubić”, ani zostawiać na talerzu, nawet jeśli coś we mnie buntowało się przeciwko zapachowi czy konsystencji jakiejś potrawy. Latami wypominałam potem matce to, że przez co najmniej dwa okresy letnie zmuszała mnie do codziennego zjedzenia szklanki posiomek, zanim znajomy lekarz nie uświadomił jej, że jestem na nie uczulona!

Trzecia zasada wyłączała wszelkie „napraszanie się” nierzadko spotykane u dzieci.

Nie wiem, ile oporu wewnętrznego i buntu oraz jakie jego trwałe skutki należałoby przypisać dwóm pierwszym zasadom mojej matki. Nie wiem, czy wtłoczone w moją dziecięcą świadomość przekonanie, że inni są mądrzejsi i ważniejsi ode mnie, miało swój udział w moim poczuciu niższości, różnie później w życiu kompensowanym.

Zasady te miały jednak i swoje pozytywne efekty. W trudnych sytuacjach życiowych, w zmiennych kolejach losu, nie było mi trudno podporządkować się im. Potrafiłam żyć byle jak i jeść byle co, nie podnosząc tego do rangi ważnego zagadnienia.

W moim obecnym upodobaniu do potraw prostych w ogóle, a jarskich w szczególności, nie ma żadnych ideowych przesłanek wegetarianizmu, a tylko przedłużona reakcja na te wszystkie „rosnące w ustach” cielęciny, kurzęciny i chalazy, posłusznie spożywane przy rodzinnym stole.

Zasada nie proszenia nikogo o nic przybierała w dzieciństwie czasem dręczące formy. Pamiętam, że w jakimś okresie miesiącami marzyłam o posiadaniu kolorowego balonika, z

takich, jakie za kilka groszy sprzedawano na każdym prawie rogu ulicy. Z pewnością zafundowano by mi taki balonik, gdyby ktoś z rodziny znał to marzenie, ale nigdy się z nim nie zdradziłam. To niespełnione „marzenie o baloniku” zostawiło we mnie jakiś zły ślad. Zasada „nie proszenia” w moim dorosłym życiu spowinowaciła się chyba zbyt blisko z pychą. Nie potrafiłam prosić nawet wtedy, gdy od tego zależało bardzo wiele w moim życiu. Nie potrafiłam prosić o pomoc, nawet gdy była mi ona bardzo w danej sytuacji potrzebna. Nie potrafiłam prosić w równym stopniu w sprawach zupełnie błahych, jak i życiowo najważniejszych.

W moim wieku szkolnym, poza szeregiem nakazów i zakazów dotyczących nauki i jej systematyczności, której nigdy nie zdołałam w pełni osiągnąć, doszła jeszcze jedna zasada kardynalna:

– Nie ma „słowa honoru” – co oznaczało, że każde wypowiedziane słowo ma być zgodne z prawdą i wyjątkowość „słowa honoru” jest całkowicie niedopuszczalna. W rzeczywistości nikt z nas tego zwrotu nie używał. Jak natomiast było z prawdą? Matka przestrzegała jej automatycznie i w sposób absolutny. Ojciec „mijał” się z nią czasem, nie przywiązując do tego szczególnej wagi. „Mijał” się zresztą bardzo niezręcznie i natychmiast poznawało się to po nim. Brat był fanatykiem prawdy i pozostał nim aż do ostatniego oddechu w niemieckiej izbie tortur. Ja? Szanuję prawdę i cierpię nad tym, że moja własna jest tak bardzo trudna.

Bardzo wcześnie w życiu szkolnym z dużą spostrzegawczością łączył się u mnie nadmierny krytycyzm i złośliwość, której potrafiłam dać wyraz zarówno słownie, jak i jakąś miną czy gestem, co nie zjednywało mi życzliwości.

Miałam bardzo niepopularną w gimnazjum żeńskim skłonność do bójek. W I-jej klasie zmobilizowałam oddział „niemek” do walki z „francuzkami”. Chodziło tu oczywiście o język obcy, któregośmy się uczyły. Nie pamiętam już moich planów strategicznych i obmyślanych zasadzek, w jakie wciągałyśmy „przeciwnika”, ale zawsze poubywało kilku guzików u fartuchów, zwisało smętnie kilka kieszeni, a i niejednen siniak przybył po obu stronach.

Pamiętam, że w starszej już klasie groziłam śmiercią koleżance, która mnie „znieważyła” podczas pełnienia przeze mnie dyżuru klasowego na przerwie. Zamierzałam mianowicie otruć ją jadem przekłutej ropuchy (gdzieś to wyczytałam), a ponieważ głośno rozповідаłam o tym zamiarze i stale nosiłam wpiętą w fartuch szpilę z trupią główką, rzecz trafiła aż na porządek dzienny zebrania samorządu klasowego i szpilka została zarekwirowana.

Na pewno nie byłam sympatyczną uczennicą, ale bardzo się też tego wystrzegałam, bo w moim pojęciu, nie całkiem niesłusznym, od grzeczności zbyt blisko było do ugrzecznienia, a stąd do lizusostwa, które uważałam za cechę wstrętną i wręcz haniebną. Nie miałam do niej

żadnych skłonności, a nie wykluczone, że przesadzałam czasem w mojej szorstkości i arogancji, aby nie zostać przypadkiem posądzoną o przymilność.

W piórniku nosiłam zawsze scyzoryk i wprawdzie nigdy nikomu (o ile pamiętam) nim nie groziłam, ale zdarzyło się, że jednej z koleżanek omal nie obciąłam kawałka wskazującego palca prawej ręki. Było to w przeddzień jakiejś „strasznej” klasówki i owa koleżanka miała nieostrożność powiedzieć, że zrobiłaby „nie wiem co”, byle jej się udało wymigać od tej klasówki...

– Mogę ci to załatwić – zaoferowałam się ze spokojną gotowością. Nie bardzo temu dowierzała i spytała – znów nie dość ostrożnie – z lekka kpiąco, albo tak mi się przynajmniej zdawało:

– Jak chcesz dokonać tego cudu?

Wykpiwałam czasem innych, ale bardzo źle znosiłam kpiny w stosunku do siebie.

– Bez cudów. Zwyczajnie zaboli cię palec. Pokaż go. Połóż na pulpicie. Scyzoryk był dobrze wyostrzony, zgrzytnął lekko o kość, ale ani o tej najbliższej, ani o kilku innych klasówkach mowy nie było.

– Chciałaś...

Nie wiem, czy miała do mnie żal, ale w każdym razie nie okazywała tego. Świadcowie zdarzenia woleli milczeć.

Co to właściwie było? Złośliwa psota? Nieważny szczegół uczniowskiej łobuzerii? Nieświadoma zemsta za własną inność? Czy sadyzm i okrucieństwo, nie przeczuwane jeszcze, a w każdym razie całkowicie nieuświadomione, ale już wtedy, a więc od zawsze tkwiące we mnie i mające przybrać w późniejszym życiu tak ostre, że aż karykaturalne formy? A może była to irracjonalna transpozycja tendencji do samodestrukcji, już wtedy we mnie dojrzewających? Wtedy oczywiście nie zastanawiałam się nad tym. Dopiero znacznie później. Dopiero teraz.

*

Powracały do mnie zdarzenia o niepewnym znaczeniu, pozornie błahе lub niedostrzeżenie ważne, ukazujące się teraz w innym zupełnie świetle, niepokojące w kontekście ogólnego rozrachunku z minionym życiem. Jednocześnie czułam, że wciąż jeszcze nie dotarłam do sedna, do samego jądra zła. W głębszych pokładach prawdy tkwiła przyczyna losu. Prawda omijana.

Wtedy właśnie powrócił do mnie baron Jezus Maria Friedel ze swoją, mojej pokrewną, prawdą. Z głębi zapomnienia, z mroku zdarzeń przeszłych, równie rzeczywistych co

niezaistniałych, z kart książki przez nikogo już nie czytanej, wyszedł, tak jak wychodził niekiedy, baron Friedel, aby złożyć mi późnowieczorną wizytę.

– Witaj, baronie, przyjacielu niezawodny, druhu powracający, bracie w wielkiej konfraterni cierpienia! Musieliśmy umrzeć oboje, śmiercią nienaturalną i tragiczną, abyśmy mogli znów spotykać się w pustce poza wszystkimi wymiarami. Ja uszłam z własnego życia w panicznej ucieczce przed sprzysiężeniem ludzi i zdarzeń. Ciebie zabiła Maria, w ten jedyny możliwy sposób wyzwalając się z ciebie.

– Witaj, baronie!

Nadeszła oto pora zadawania sobie pytań, skazanych na pozostanie bez odpowiedzi, a mimo to pytań koniecznych.

– Kim byliśmy, samotni, skryci, źli i mściwi, poza granicami zwykłych ludzkich spraw i praw, w pętach strasznej niemożności? Jaka jest nasza wspólna elementarna prawda? Moja i twoja prawda, która czyniła nas obcymi, nierzadko wrogimi innym ludziom, zawistnymi wobec dopełniającego się wokół nas zwykłego życia zwykłych ludzi.

Czy byliśmy jedną, fatalnie wylosowaną komórką czy zwariowanym plemnikiem czy po prostu mezaliansem pomiędzy nimi? Kaprysem któregoś z chromosomów czy pomyłką związku chemicznego?

– Kiedy staliśmy się takimi, jakimi wypadło nam być? Czy już w pierwszym uścisku głowy zwycięzcy, bardziej do kijanki niż do jakiegokolwiek innego stworu podobnego, przez czekającą, zachłanną drugą połowę nas? Czy może sekundy, może godziny później, gdy cudowny zawiązek jedności zaczął rosnać w swoich niepohamowanych podziałach? Czy może w późniejszej jeszcze epoce? W owym przełomowym szesnastym dniu życia, gdy nie mierzyliśmy jeszcze dziesięciu milimetrów i gdy staliśmy się tęczową przezroczystą trójdzielnością, w owal wydłużającej się tarczy? Czy może podczas burzliwego okresu pomiędzy czwartym a ósmym tygodniem naszego życia, gdy ta trójdzielność różnicowała się i rozpadała w żywiołowym wzroście, dając początek wszystkim układom naszego ciała? Może wtedy? A może było jeszcze inaczej? Może jakiś bezimienny złośliwy endowirus wkradł się pomiędzy spinające się sznury pereł naszego przyszłego rdzenia kręgowego? Może nasze matki, w całej nieświadomości, wystawiły nas na działanie jakichś związków chemicznych czy nie znanego dotychczas promieniowania, gdy mierzyliśmy zaledwie pięć, osiem, może dziesięć centymetrów?

Czy dotknęło nas to w tym momencie, gdy zaczynaliśmy się różnić od płodu myszy, szczura, psa czy świni, albo jeszcze o nieuchwytną chwilę później, gdy traciliśmy tożsamość z płodami orangutana i goryla?!

Jedno jest tylko pewne, że takimi byliśmy, gdy przyszła ta pora, ta godzina ostatecznego opuszczenia najbezpieczniejszej człowieczej kryjówki. Kto z nas nie myślał w późniejszym życiu o tej właśnie godzinie i nie czuł piekącego, bezrozumnego żalu, że nie była ona zarazem ostatnią naszego życia? Obumierały przecież płody, umierały niemowlęta, ale nasza inność, nasza ułomność, przekleństwo, które musieliśmy nieść na sobie, nie było śmiertelne. Byliśmy dożywotnio na nie skazani. Żadne „urazy” ani „kompleksy”, jak uczenie usiłują wywodzić psychologowie i szarlatańscy psychoanalitycy. Trywialna biologiczna rzeczywistość – nic ponad to. Nie może to być usprawiedliwieniem niczego, co się w naszym życiu stało, ale może być tego uzasadnieniem, choćby w jakimś stopniu...

Byliśmy kimś innym niż wydawaliśmy się być, niż wolno nam było być i niż byliśmy. Byliśmy uwięzieni w pozorach, w zewnętrzności do niczego nie dopasowanej i służącej jedynie najtrywialniejszym, najprymitywniejszym funkcjom fizjologicznym. Jak bardzo nedorzeczni i żałośni byliśmy w gruncie rzeczy, gdy wydawało się nam, bodaj przez chwilę, że zrzucając nasze odzienie, tę najbardziej powierzchowną zewnętrzną warstewkę nas, zmieniamy powłoki naszych bezsensownych ciał. Jak bardzo nienawidziliśmy naszych ciał, jak wzrastaliśmy i dojrzewaliśmy z tą nienawiścią w sobie i całą jej bezradnością. Jak buntowaliśmy się przeciw naszym ciałom i usiłowaliśmy je karać za niewiadome winy. „Tendencje do samodestrukcji” w słownictwie psychiatrów i psychologów, ale cóż oni mogą o tym wiedzieć?!

Zanim popadłeś w tyranie Marii, baronówny kapryśnej i zmiennej, skrycie wtulałeś się, Jezusie Mario, w obrony baronowej-matki, pieściłeś atłasy i jedwabie, w wąchiwałeś się łąkowie w batysty i zapachy gotowalni, owijałeś się w tureckie szale. Zanim zrozumiałeś, dlaczego to robisz, zazdrościłeś koronkowych żabotów ciotkom-rezydentkom i wpiętych w nie brosz, podziwiałeś nogi twoich guwernerów i pragnąłeś dotykaniem dłoni sprawdzić miękkość ich włosów.

Zanim zrozumiałam, dlaczego to robię, podziwiałam śmiech młodych dziewcząt w Ogrodzie Saskim, ulegałam urokowi jedwabnych pończoch opinających łydki pań, wstępujących na wysokie stopnie warszawskiego tramwaju i pieściłam piersi gipsowych meduz na wielkim wazonie w jadalni moich dziadków. Potem zrozumieliśmy. Stańliśmy wobec okrucieństwa życia i własnych niemożności. Staraliśmy oszukać siebie i życie. Padaliśmy ofiarami cudzych słabości, upodobań lub perwersji i czyniliśmy z nich z kolei ofiary naszego gniewu.

Przyczyna wielu, jeśli nie wszystkich moich życiowych porażek i klęsk tu właśnie musiała znajdować swoje źródła.

Nie zapomniałam, baronie, że byłeś mi orędownikiem w najważniejszej sprawie mojego życia. Przemówiłeś za mną, gdy mnie zabrakło odwagi i słów wobec sprawy tak wielkiej, jaka stanęła na mojej drodze. Ty zaniósłeś posłanie w tamten wiosenny czas. To było oczywiście znacznie później i w moich latach szkolnych, podejrzewając siebie, jeszcze nie wszystko o sobie, a jeszcze mniej o życiu wiedziałam.

*

Nauczyciele skarżyli się na moje lenistwo, chociaż wcale nie jestem pewna, czy nim rzeczywiście było, czy też moje trudności szkolne wynikały z braku zdolności do koncentracji, roztargnienia, niepokoju wewnętrznego, którego bardzo długo nie potrafiłam sprecyzować ani nazwać po imieniu. W domu bezustannie wymawiano mi lenistwo i nieuctwo, a ja zacinałam się w sobie i obiecywałam w swoim sercu zemścić się kiedyś bez pardonu.

Czy było zemstą napisanie do ojca, wtedy w obozie dla internowanych i już w początkach umierania na raka, o zamordowaniu syna w niemieckim więzieniu i o moich własnych, nie opuszczających mnie przez wiele lat, zamiarach samobójczych? Nie wiem. Może. Nie był bez winy w obu wypadkach. Nie zrobił niczego, aby wydostać brata z hitlerowskich Niemiec po 1933 roku i nie zrobił niczego, kiedy zwracano mu uwagę na moje tragiczne kalectwo. Prosił o przebaczenie, ale na ten ostatni list nigdy już mu nie odpowiedziałam. Nie przyszło mi też nigdy na myśl, aby odwiedzić jego grób w Budapeszcie.

Czy było zemstą przeniesienie na matkę ciężaru wszystkich moich życiowych porażek i zatrucie ostatnich lat jej życia nieznośnymi wybrykami, zimnym okrucieństwem i stałym widokiem rozkładu moralnego, w którym sobie upodobałam? Nie sądzę, ale – może. Byłoby to jednak tak dalece niesprawiedliwe, a zarazem nieświadome, że nigdy dotychczas nie przyszło mi to na myśl.

Czy mściłam się na wszystkich, których przypadek czy ja sama zdołałam w jakiś sposób od siebie uzależnić? Za co? Za moje złe życie? Za całą niemożność, przed którą mnie ono stawiało? Może.

Ktoś, kto w pewnym okresie mojego życia wydawał mi się ważny i bliski (ileż to razy wydawało mi się, a tylko jeden raz nie omyliłam się), powiedział kiedyś, że najtrudniej jest być ze mną tym, których ja kocham i którzy mnie kochają. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, jak głęboka prawda w tym tkwiła. Tak przecież było. Im ktoś był, albo stawał się mi bliższy, tym bardziej obciążałam go sobą, ciężarem swoich wewnętrznych rozkojarzeń, ambiwalencji,

arbitralności i zmienności nastrojów. Czy zresztą kochałam kogokolwiek? Teraz nie jestem już tego pewna. Wierzyłam w to czy usiłowałam wierzyć? Czy może tylko wyobrażałam sobie, jak za lat dzieciństwa? Czy kochałam bodaj moją matkę, jedyną, która nie odwróciła się ode mnie mimo wszystkich cierpień, jakie jej zadawałam, nawet nie zastanawiając się nad tym? Nie wiem. Może kochałam tylko jej istnienie w moim życiu, jej nieustanną troskę o mnie i moje sprawy – te, o których wiedziała, i inne, których się domyślała – moje własne poczucie bezpieczeństwa, które dawała sama jej obecność, jak długo trwała.

Analizując, zaczynam odnajdywać w swoich uczuciach do matki coraz wyraźniejsze podobieństwo do tych, o które zawsze podejrzewałam mojego ojca. Matka gwarantowała jego spokój powszedni, zdejmowała wszelką odpowiedzialność i wszystkie codzienne troski, brała pod uwagę jego potrzeby, przyzwyczajenia i kaprysy. Był przywiązany do niej czy do beztrudnego życia, które mu tworzyła? Miał do matki nieograniczone zaufanie w każdym sensie, ale w jakim stopniu ona sama mogła ufać jemu, skoro wiedziałam, pod jak wielu względami nie mogła ufać mnie? Tak wielu rzeczy dowiadywałam się o sobie i tak wielu jeszcze nie wiedziałam albo nie potrafiłam zrozumieć.

*

Czas mijał powoli. Wciśnięty pomiędzy bezsens przebywania w pokoju z oknem ku niebu a nieustannością wyrzutów sumienia. W tę dotkliwą, przewlekającą się pustkę trwania wbrew wszelkiemu rozsądkowi wpadały od czasu do czasu listy z tak bardzo, tak nierealnie daleka, jak z ojczystego kraju. Pisał oto przyjaźnie prof. W., w całej nieświadomości swojego okrucieństwa, o rozlicznych swoich pracach i zajęciach powszednich... Pani docent C. wyrażała naiwne zdziwienie, że „osiedliłam się” w Szwecji, a nie we Włoszech. „Myślałam – pisała – że jesteś raczej nad Po...”

Dlaczego chciała mnie widzieć nad Po, skoro urodziłam się nad Wisłą?! Nienawidziłam ich.

Te listy, czasem odkrytki z widokami utraconych miejsc, nieświadomie okrutne, odgłosy sądów o moim „wyborze”, o „urządzeniu się”, komentarze różnego rodzaju, stawały się dodatkowymi instrumentami w tym powoli toczącym się procesie nieustannej tortury.

Czy nie wiedzieli, że nie kopie się pokonanego? A może wiedzieli, że to właśnie się robi? We wszystkich czasach, na całym świecie.

Dziś myślę, że przynajmniej niektórzy z nich rzeczywiście nie wiedzieli, co czynią.

*

W jakimś momencie, błądząc w sferze wspomnień rodzinnych, uświadomiłam sobie, że kuzyn mojej matki w Cleveland jest jedynym i ostatnim z żyjących, któremu mogłabym postawić pytanie:

– Czy pamiętasz?

Pokrewieństwo nasze jest nie najbliższe, aż podwójnie po kądzieli. Z mojego obliczenia wynika, że zakładając absolutną wierność małżeńską naszych prababek, mamy zaledwie 3,125 procent wspólnych genów. Maluczko tego wspólnego DNA! Wspólnych pojęć, poglądów, zainteresowań – jeszcze mniej. Mamy tylko trochę wspólnych wspomnień, tylko trochę tych samych lub podobnych obrazów w pamięci. Mniej lub więcej przebarwionych lub spłowiałych. Pojechałam więc do Cleveland, aby skonfrontować obrazy naszej pamięci.

– Czy pamiętasz?

Przez trzy czy cztery dni serwowaliśmy sobie to pytanie w długich „longach” tego rodzinnego meczu pamięci. Były sprawy i zdarzenia pamiętane jednakowo i wspólnie, ale jednocześnie, w odkrywczy sposób dowiadaliśmy się, co się u nich w domu o nas, a w naszym – o nich, mawiało, o czym dotychczas nie mieliśmy pojęcia. Wyłaniały się różne wersje tych samych zdarzeń. Niektóre można byłoby nawet prostować, ale nie miałyby to żadnego sensu, bo i tak pozostalibyśmy oboje przy tych obrazach i wyobrażeniach, jakie od dziesiątek lat nosiliśmy w sobie.

Wspominałam jego ojca. Gdy byłam dzieckiem, jego nieczęste wizyty u nas sprawiały na mnie wielkie wrażenie. Był pięknym mężczyzną, a ja wyobrażałam sobie, że tak właśnie powinni wyglądać królowie z bajek. Największego podobieństwa dopatrywałam się jednak pomiędzy tym pięknym wujem mojej matki, niewiele od niej starszym, a waletem ze zdekompletowanej talii kart mojego dziadka, którą czasem wolno mi się było bawić.



Ostatni, któremu mogę zadać pytanie: – Czy pamiętasz? Doktor Dawid Krongold, bratanek mojej babki, w wieku 85 lat

Ode mnie dowiedział się o psikusach, jakie jego ojciec i jego starszy brat płatali nielubianej siostrze. Ciotka owa, stale mieszkająca w Łodzi, przybyła jakiegoś popołudnia do warszawskiego mieszkania moich dziadków, w głębokiej żałobie. Była wysoka i postawna i z łatwością wyobraziliśmy sobie, jak musiała wyglądać w tych kirach. Zastawszy rodzinę przy herbacie, w jak najlepszym nastroju, trochę tylko zdziwioną jej nie zapowiedzianym i żałobnym objawieniem się, przybrała pozę dramatyczną i wypowiedziała stale potem w rodzinie powtarzane słowa:

– A więc to nieprawda? – z przyciskiem na literę „ę”.

– Twój tata – wyjaśniałam kuzynowi – telegraficznie wezwał siostrzyczkę na pogrzeb wuja Wicka, który wtedy, jak i po tym, cieszył się najlepszym zdrowiem. Opowiadałam mu i o innych figlach płatanych tej ciotce i o tym, jak to impetyczny, rzekomy „nieboszczyk”, urażony jakąś rodzinną plotką, włożył do koperty odrobinę siana (postój dorożek był za rogiem) i wysłał pocztą z wyjaśniającym zdaniem: „Jesteś krowa, to się najedz!”

Nie opowiedziałam mu natomiast, że ta ciotka straciła życie dlatego, że jednej pani spodobał się jej pled. Ciotka z neseserem i tym pledem, to znaczy ze wszystkim, co w danej chwili posiadała, jechała dorożką łódzką ulicą, nie w tym kierunku, w jakim nakazywały to niemieckie zarządzenia. Jakąś panią ogarnęły wątpliwości, które zdecydowała się rozproszyc lub potwierdzić przy pomocy wezwanego żandarma. Jej wnikliwość została nagrodzona pledem. Dlaczego nie powiedziałam mu o tym? Wielokrotnie później zadawałam sobie to pytanie. Zwłaszcza, że nie był to z mojej strony jedyny przypadek przemilczenia czyjegoś udziału w zbrodni. Dlaczego? Nigdy także nie opowiedziałam nikomu o Leszku i jego koledze o zapomnianym imieniu, którzy uzbrojeni jedynie w kije doprowadzili do posterunku granatowej policji sześciu, usiłujących ukryć się, Żydów bychawskich. Nigdy nie wspomniałam nikomu o dwóch Żydach garwolińskich zastrzelonych na krawędzi lasu przez ich i moich kolegów. Dlaczego? Czy było we mnie jakieś nierozszyfrowane, ciemne poczucie lojalności w stosunku do sprawców? Czy czułam się w jakimś sensie współwinna? Czy była we mnie niepewność tego, do czego ja sama byłabym zdolna, czy może tylko zimna obojętność cwaniaka, któremu się udało? Nie wiem.

Mówiliśmy więc o sprawach rodzinnych. W tym także nie wszystko zostało dopowiedziane. Nie mogłam więc, ani nie chciałam powiedzieć mu, jakim utrapieniem był jego ojciec dla pradziadka i jego drugiej żony. Na tym właśnie, najmłodszym i najzdolniejszym z synów skupiały się wszystkie nadzieje i ambicje pradziadka. Chciał widzieć go inżynierem „dróg i mostów”. Synek nie podzielał jednak tych zamiarów. Wesoło

spędzał czas w kawiarniach, kabaretach i popularnych wtedy w Warszawie *variétés* ogródkowych. Rozjeżdżał po stolicy wchodzącym dopiero w modę rowerem. Był stałym bywalcem na Dynasach i na wyścigach konnych, a w domu zatruwał życie ojcu i macosze na wszelkie możliwe sposoby. Ukończył wprawdzie jakieś kursy kreślarskie, ale na żadnej posadzie nie mógł się długo utrzymać, bo albo szef mu się nie podobał i informował go o tym, albo on nie podobał się pracodawcom, których traktował bez należytego respektu. Zarozumiały był, nerwowy i kłótniwy. Wreszcie, ku ustatkowaniu się, wynaleziono mu posadę w Radomiu, w przyzwoitej odległości od uciech i pokus stolicy. W prowincjonalnym Radomiu początków naszego stulecia z punktu zrobił furorę swoją aparycją i warszawskim szykiem. Niezadługo też ruszył w konkury do córki znanego miejscowego lekarza i jej z kolei zatruwał życie swoją lekkomyślnością i fanfaronadą.

W warszawskiej rodzinie zawsze ostro krytykowano swawolnego wujaszka i współczująco potrzęsano głowami nad losem wujenki, ale nie miało najmniejszego sensu opowiadać teraz o tym.

Mówiliśmy o rzeczach rodzinnych, błahych i zarazem ważnych przez sam fakt ich wspomnienia. O kuzynach w różnych stronach świata. O Mietku (argentyńskim, bo było trzech w rodzinie), który porzucił medycynę, aby objąć kierownictwo zakładów przemysłowych rodziny żony, a po dwudziestu latach porzucił żonę (i przemysł), aby powrócić do medycyny. Powrót był to dość problematyczny, bo zadowolili się... homeopatią. Oboje byliśmy zgodni w sceptycyzmie i lekkiej dezaprobacie. O Władku, który przypuszczalnie mieszka w Bydgoszczy, ale nigdy się nie odezwał. Ja mogę to zrozumieć i zaaprobować, on – nie.

Wspominaliśmy dom wujostwa Wicków (z bramy na lewo... jak gdybym była tam wczoraj), gdzie on jako student zapraszany był na niedzielne obiady zatruwane „wychowawczymi” uwagami wuja, a jednocześnie osładzane niezmierną łagodnością i dobrocią ciotki Justynki. Z pamięci wyłonił mi się obraz zaperzonego wuja, mówiącego do mojej babki z oburzeniem godnym większej sprawy:

– Wyobraź sobie, Andziu, on wbija widelec w środek kotleta!... (Co ciekawsze – robił to nadal).

Wspominaliśmy dom moich dziadków i ów uroczysty obiad rodzinny, kiedy najstarszy z jego braci otrzymał dyplom lekarza i zjechała cała radomska rodzina w komplecie. Miałam około sześciu lat i wtedy po raz pierwszy i jedyny widziałam ich matkę, drobniutką ciocię Helenkę i ich najmłodszego brata, chyba tylko o rok starszego ode mnie. Siedzieliśmy oboje przy dostawionym stoliku z mojego pokoju.

– Czy pamiętasz?

Nie miałam odwagi na zadawanie pytań, ale poprosiłam go o pokazanie fotografii rodzinnych. Nie miał ich wiele. Ich ojciec na jakiejś wycieczce z klasą maturalną Jurka. Zawsze ciągnęło go do młodości. Już nie taki piękny i wytworny, jakim go pamiętałam. Powiększenie paszportowego zdjęcia ciotki z ostatnich lat jej życia. Eluchna, której nie pamiętam, jedyna siostra, „oczko w głowie” ojca i obiekt uwielbienia braci. I wreszcie ten brat najstarszy, który powrócił kiedyś do mnie dręczącym snem, o czym nie mówię. Zdjęcie zrobione u kiepskiego małomiasteczkowego fotografa, może w Iłży albo Przysusze, gdzie praktykował przed zamierzoną, a nie dokonaną przeprowadzką do Radomia. Oni oboje z córeczką. Teraz wiedziałam już.

Tak więc przez kilka dni wspominaliśmy ludzi bliskich i zdarzenia przeszłe, zadając sobie wzajemnie pytania, poprawiając się, z rzadka prostując rzeczy źle zachowane albo przeinaczone pamięcią. Po tych trzech, a może i czterech dniach, nie mieliśmy sobie niczego więcej do powiedzenia. Nie mieliśmy żadnych wspólnych zainteresowań, żadnego tematu do rozmowy.

Na pozostały czas mojego pobytu w ich domu wzięła mnie pod opiekę żona kuzyna, energiczna i na swój sposób sympatyczna, niemiecka „Hausfrau” rodem z Kassel, która starała się pokazać mi jak najwięcej Ameryki, która z każdym dniem coraz mniej mi się podobała, oraz dostarczyć mi wrażeń towarzyskich, które z każdą godziną nudziły mnie i nużyły coraz bardziej.

Byłam zadowolona, że nie uległam namowom kuzyna, pełnego zresztą dobrej woli i gotowości pomocy, który zaraz po moim wylądowaniu w Szwecji czynił starania, aby mi umożliwić zainstalowanie się w Stanach Zjednoczonych. Przysłał mi nawet (wśród emigrantów „na wagę złota”) oficjalne zapewnienie zatrudnienia w szpitalu, w którym sam pracował od wielu lat.

Nie, Ameryka nie była dla mnie. Była za daleka i była... za duża.

*

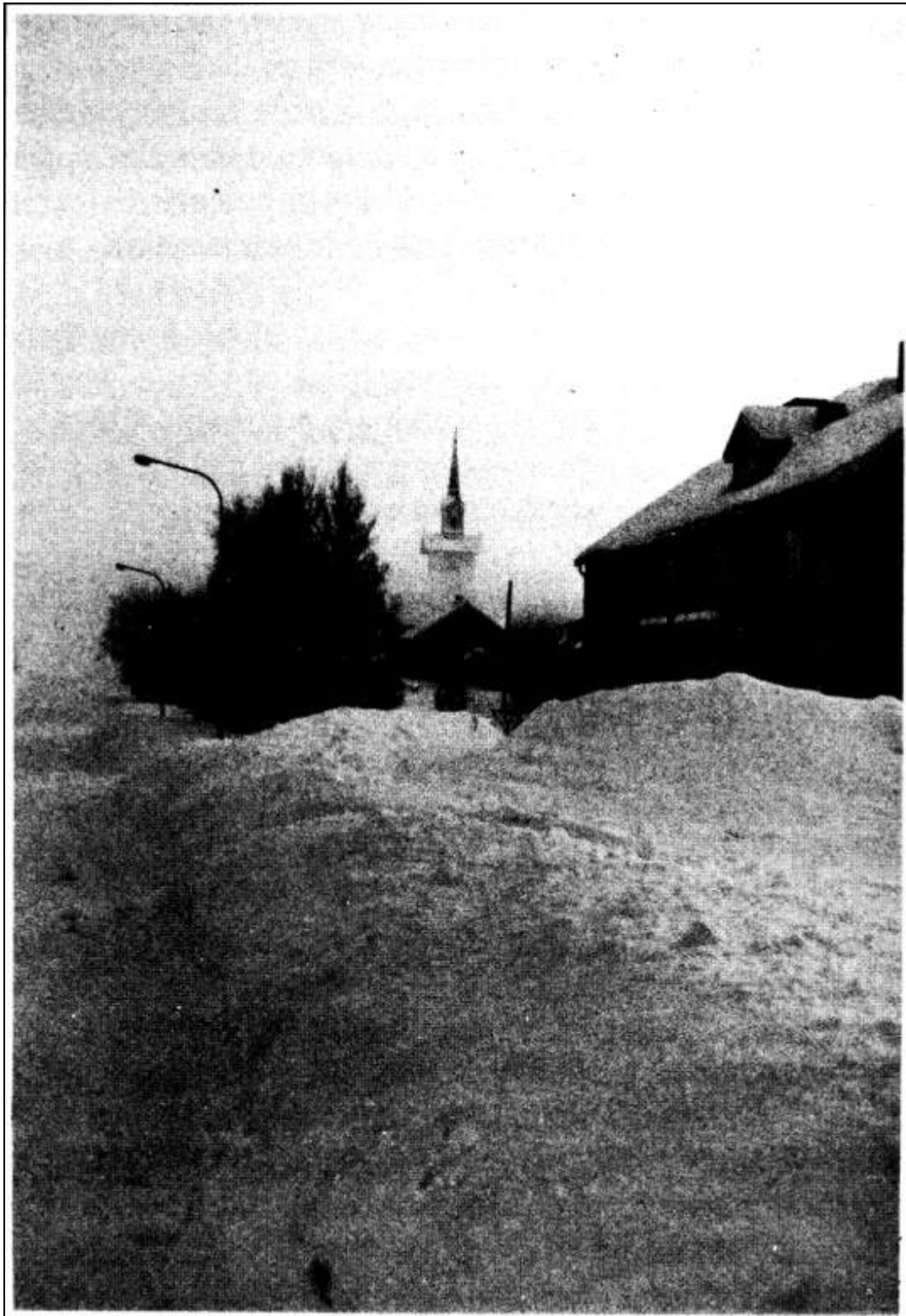
Rok 1972 nie przyniósł wprawdzie bezpośredniej zmiany w mojej sytuacji *arkivarbetare*, ale rozpoczął się interesującą propozycją (nareszcie!) profesora, którą podjęłam z pełną gotowością, nie przypuszczając nawet, że stanie się ona wielką przygodą mojego życia.

Rzecz wyglądała tak, że w latach 1947-1949 obecny dyrektor instytutu pełnił zastępczo funkcje lekarza rejonowego w stronach rodzinnych nowo poślubionej małżonki. A okolice te leżały daleko na północ od kręgu podbiegunowego i dostarczały bystremu obserwatorowi

wielu interesujących, a nawet zaskakujących spostrzeżeń. Przede wszystkim więc wszyscy pacjenci i znajomi wydawali się być tu spokrewnieni ze sobą. W większym lub mniejszym stopniu byli nimi w rzeczywistości. Następne spostrzeżenie dotyczyło częstości występowania na tym obszarze psychoz schizofrenicznych przekazywanych dziedzicznie. Dwa te, wewnątrznie skorelowane ze sobą spostrzeżenia stały się przedmiotem badań i tematem pracy doktorskiej profesora, w początkach lat pięćdziesiątych. Marginesowo nie mogłam oprzeć się cichemu stwierdzeniu, że profesor doktoryzował się wprawdzie o pięć lat później niż ja, ale także w okresie, w którym genetyka człowieka błędziła jeszcze zupełnie mylnymi, ciemnymi ścieżkami. Zarówno ja, jak i on, podchodziliśmy do naszych egzaminów w przeświadczeniu, iż komórki ciała ludzkiego dysponują 48 chromosomami...

Moim zadaniem miało być stwierdzenie, jak ukształtowała się zapadalność na te psychozy w następnym pokoleniu miejscowej ludności.

W maju 1972 roku przekroczyłam po raz pierwszy koło podbiegunowe i od ostatniej stacji kolejowej Gällivare pocztowym dylizanssem dotarłam do głównej osady tego terenu – Pajali. Jechałam tam z obawą w sercu, z wątpliwościami najrozmaitszej natury, ale i z nadzieją, że może jednak coś się zacznie dziać, co zdoła przerwać mój bezsensowny, bezcelowy i całkowicie demobilizujący psychicznie tryb bytowania w instytucie i w Szwecji. Pojechałam o dzień wcześniej niż instytut zapowiedział moje stawienie się u miejscowego proboszcza, aby go zobaczyć podczas niedzielnej mszy, usłyszeć w kazaniu i jakoś wewnątrznie przygotować się na to spotkanie, tak dla mnie ważne.



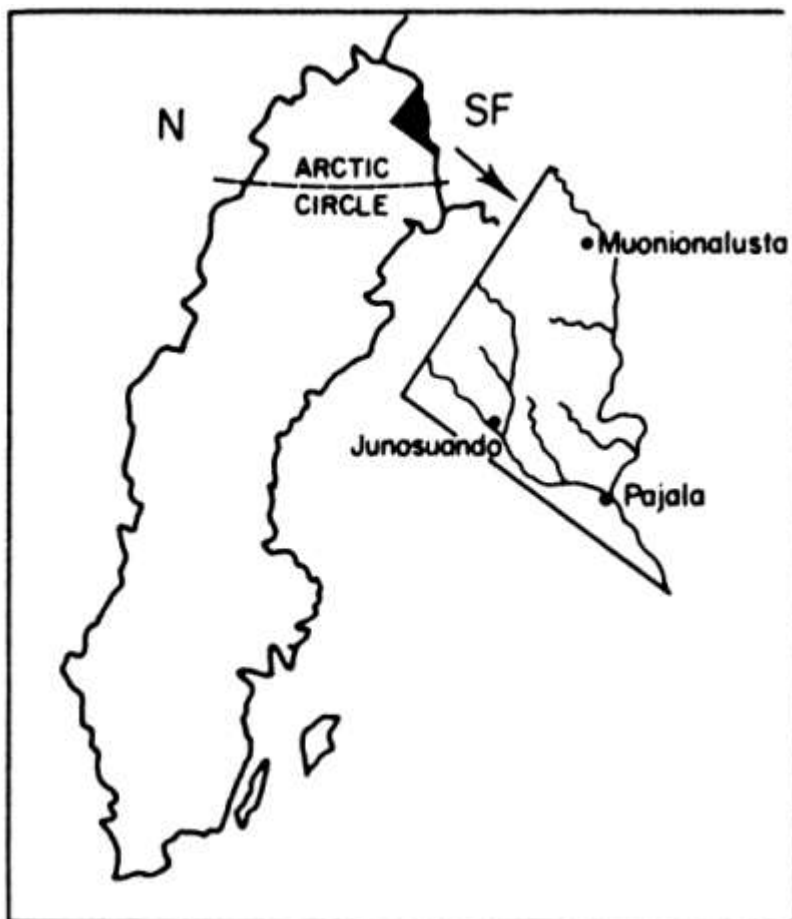
Pajala w śniegu

Mówiłam wciąż jeszcze powolną szkolną szwedczyzną i powolna, bardzo wyraźna, trochę jak gdyby kanciasta, fińska szwedczyzną pastora i innych spotykanych tu osób stała mi się natychmiast bardziej zrozumiała od południowszwedzkiej, trochę nosowej, trochę sepleniącej wymowy profesora. W nader rzadkich wypadkach, kiedy się do mnie zwracał, wpadałam czasem w kłopotliwą niepewność, czy tryb, którego użył, był oznajmujący czy pytający... Nie zawsze rozumiałam również niedbałą, zacierającą końcówki wyrazów, wymowę innych pracowników instytutu. A i oni bywali bezradni wobec tego, co chciałam im powiedzieć, jeżeli źle zapamiętawszy wzrokowo jakieś słowo opuszczałam dwie nieodzowne kropeczki nad a czy o. Tu nagle zaczęłam rozumieć, co się do mnie mówi i rozumiano również, bez powątpiewania, zakłopotania i bezradności to, co ja chciałam wyrazić. Na pewno robiłam błędy i przejęzyczenia, ale tu robili je wszyscy, każdy na swój sposób, nie podnosząc tego do rangi problemu.

Oczytawszy się pism Selmy Lagerlöf stosowałam czasem wyrażenia archaiczne, czego nie dawano mi odczuć. Tak np. początkowo zwracałam się do żony proboszcza per *pastorskan* – pani pastorowa, co od dawna nie było w użyciu w biurokratycznie zdemokratyzowanej Szwecji, gdzie prawie z dnia na dzień wszyscy przeszli ze sobą na „ty”. Jeden z darów socjaldemokracji, a może – w większym jeszcze stopniu – przejście ze wzorców niemieckich na angielskie...

Spośród 120 pacjentów z okresu pierwszych badań 37 zastałam przy życiu, ale w tych samych rodzinach wystąpiły aż 44 nowe przypadki tej samej psychozy. Nasz projekt nabrał tym samym racji bytu i zapoczątkował nowy etap badań.

Proboszcz parafii Pajala, a także proboszczowie dwóch sąsiednich parafii objętych kontynuacją badań epidemiologicznych, klinicznych i genetycznych udostępnili mi nie tylko wszystkie księgi i rejestry parafialne, ale również wszelkie niezbędne, często wręcz nieocenione informacje, wynikające z ich własnej znajomości miejscowych rodzin. Otworzyli też przede mną drzwi swoich plebanii, gdzie przez następne kilkanaście lat byłam przyjmowana zawsze z jednakową, bezpośrednią gościnnością i gotowością pomocy. Te kilkanaście lat złożyło się na okres mojego życia niepodobny do wszystkich poprzednich i wszystkiego, co miało nastąpić później. Lata te wprowadziły mnie w krąg zupełnie obcej społeczności, wśród której spotykałam wiele niespodziewanej, krzepiącej życzliwości. Sprawiała ona, że ludzie tego małego podbiegunowego skrawka ziemi, ich sprawy i troski stopniowo przestawały być mi obce i z którymi kontakt nie pozostał bez znaczenia w moim zupełnie osobistym, mozolnym dążeniu do uzyskania wewnętrznego ładu i spokoju.



Terytorium badań demograficznych, epidemiologicznych i klinicznych w latach 1972-1989



Kapryśne wody rzeki Torne

Terytorium objęte badaniami było przed kilkuset laty zupełnie nie zamieszkałe, porośnięte lasem, na północy przechodzącym w tundrę. W pierwszych latach osiemnastego wieku przybyli tu pierwsi osiedleńcy z leżących po wschodniej stronie rzeki Muonio okolic północnej Finlandii. Od połowy tego samego stulecia zaczęło napływać coraz więcej kolonistów z tych okolic. Ściągali rodzinami do pracy w hucie żelaza w Kengis, pracowali w kuźniach pod okiem Walonów, wyrębywali las, budowali się powoli, wydzielali kamienistej ziemi uprawne strzępy. Dzieci im umierały. Z dziesięciorga, dwanaściorga żywo urodzonych, rzadko kiedy połowa dożywała wieku dojrzałego. Oni sami umierali młodo – z gruźlicy, z pracy ponad siłę, z wypadków w hucie i przy wyrębie, kobiety – w porożu. Daleko było pomiędzy osiedlami, więc żenili się i spokrewniali między sobą coraz bardziej, przez siedem ostatnich pokoleń. Przekazywali sobie swoją przedsiębiorczość, przemysłowość i pracowitość, ale także swoje ułomności, nałogi i choroby.

Do dialektu, który przynieśli ze sobą ze stron rodzinnych, przesiąkały z czasem nazwy i słowa lapońskie koczujących w okolicy hodowców renów, słowa miejscowych szwedzkich urzędników i nauczycieli, pojedyncze wyrazy używane przez holenderskich lub niemieckich majstrów. I tak na gruncie języka fińskiego powstało ich własne narzecze ludzi doliny pięknej i kapryśnej rzeki Torne. Narzecze to samo pasowało się do rangi języka, gdy zaczęło wypowiadać się prozą i poezją.

Wiele nauczyłam się, wiele zrozumiałam w dolinie Torne. Spośród niezliczonej liczby zdarzeń i przemyśleń wyławiam teraz jeden wieczór, jedno właściwie zdanie. Mieszkałam w tym czasie w domu parafialnym położonym na krańcu osady, dużym, piętrowym, pięknie odnowionym robotą stolarską, bardziej sztuką niż rzemiosłem. Parafia otrzymała go mocą testamentu położnej, która przyjęła na świat wiele pokoleń miejscowych noworodków, ale sama umarła bezpotomnie i wszystko pozostawiła innym. Mówiono, że czasem jej duch odwiedza stare kąty. Ja nie spotkałam go nigdy.

Dom był prawie pusty, rzadko używany, czasem na próby chóru, na zajęcia z młodzieżą przed konfirmacją, posiedzenia rady kościelnej, z rzadka na pogrzebowe przyjęcia, które u nas nazywane bywają stypą albo „konsolacją”, tu zaś są „godziną wspomnienia”. Składa się na nią tradycyjny obiad, odśpiewanie stosownych psalmów oraz rozmowa towarzyska, niekoniecznie dotycząca wyłącznie osoby zmarłego.

Pewnego późnego popołudnia, po obiedzie na plebanii, pastor, odprowadzając mnie do furtki, zapytał, czy nie boję się mieszkać sama w domu parafialnym. Bez chwili zastanowienia odpowiedziałam:

- Ja nie jestem sama.

Musiałam powiedzieć to z tak przekonującą gotowością, że pastor poczuł się zażenowany. Dopiero po dłuższej chwili milczenia powiedział: – Masz rację... nikt z nas nie jest sam.

Od tamtej chwili to, co czułam albo określałam jako opiekę czy łaskę Opatrzności, zrozumiałam jako Obecność w moim życiu tej siły – nie wymagającej imienia – którą czułam przy sobie, czasem jak gdyby za moimi plecami, we wszystkich nawet najtrudniejszych, pozornie nierozwiązywalnych sytuacjach mojego życia. Ta Obecność, mimo wszystkiemu, kim byłam i co ciążyło na mnie, nie opuszczająca mnie nigdy dała i teraz nowe siły i nową nadzieję. Nie pozostałam sama.

*

Losy ludzi doliny Torne, ich dzieci i wnuków oddalały mnie od mojego własnego losu wygnańca na obcej ziemi i winowajcy w trudzie rozliczającego się ze swoich grzechów. Ich losy stały się treścią moich dni, niepostrzeżenie urastających w miesiące i lata.

Należało zrobić wszystko od początku i już to samo było niezmiernie fascynujące. Należało odszukać ślady przybycia poszczególnych rodzin na tę ziemię, ich osiedlenia się, przesiedlania, zawiązywania rodzin, przemiany pokoleń. Należało rozwikłać więzy pokrewieństw i powinowactw, wiodących do naszych obecnych pacjentów. Tu nie wystarczyły już parafialne księgi i raptularze, ani informacje miejscowych pastorów. Trzeba było zejść w głąb dawnych akt, przechowywanych w przebogatych zbiorach archiwum rejonowego w Härnösand i poprzez mało czytelne zapisy siedemnasto- i osiemnastowiecznych proboszczów wiązać przeszłość z teraźniejszością.

Należało także odszukać historie choroby dawnych i nowych pacjentów, krótszy, dłuższy lub dożywotni czas hospitalizowanych w którymś ze szpitali psychiatrycznych. Trzeba było treść tych indywidualnych i rodzinnych tragicznych dziejów wziąć w siebie, poznać ich przebieg, zanim poznało się stojącego za nimi człowieka. Potem poznawało się ich. Chorych, ich rodzeństwo, ich rodziny. Odwiedzało się ich w domach rodzinnych i na oddziałach szpitalnych.

W pierwszych latach jeździłam na tę daleką północ pociągiem, aż do jego końcowej stacji, a dalej trzy godziny pocztowym dylizansem, którego już sama nazwa przydawała romantyczności wyprawie. Dylizansy są w kolorze tutejszej poczty – żółte, niebieskim przepasane. Mój dylizans zatrzymywał się we wsiach, gdzie wybiegała mu naprzeciw *postfröken* – „pocztowa panna”, nierzadko będąca jednocześnie sklepową w miejscowym sklepie czy kiosku, odbierała brezentowy worek z przesyłkami, coś tam kwitowała, jakąś „pocztę”

kierowcy zlecała, czasem z nim chwilę pożartowała. Zupełnie inaczej niż w centralnej Szwecji, gdzie nikt do nikogo zbyt cennym słowem nie zwykł się odzywać.

W wioskach bez własnego urzędu pocztowego kierowca dyliżansu sam opróżniał skrzynkę pocztową, a przywiezione przesyłki składał, jak umówiono, pod progiem sklepu albo domu jakiegoś miejscowego funkcjonariusza, którego chciałoby się nazwać sołtysem.

Daleko tu bywa od wsi do wsi, więc przy drodze stoją gdzieś niegdzie słupki sygnalizujące obecność osiedla ludzkiego gdzieś dalej od traktu, w głębi lasów. Górne, poziome ramię słupka, obciążone brezentowym workiem pocztowym, czeka na uwolnienie od tego brzemienia. Z czasem moja znajomość z kierowcami dyliżansów zacieśniła się na tyle, że siadywałam na przednim siedzeniu i przez rozsunięte drzwi sięgałam po te czekające wzdłuż drogi worki ludzkich spraw, oszczędzając kierowcy trudu wychodzenia z za kierownicy. Była to przyjemność automatycznie przenosząca mnie w lata lektur podróżniczych, obozowych przygód i kowbojskich filmów.

Latem droga długimi odcinkami biegła w obramowaniu olbrzymich fioletowo-purpurowych kęp krwawnicy pospolitej. Ta roślina przydrożna bywa tutaj popularnie nazywana *rallareros* – różą układających tory kolejowe. Nazwa *rallare* wywodzi się od mowy angielskich przedsiębiorców budowy dróg żelaznych (*railway*) i określano nią tysiące robotników koczujących wzdłuż szlaku i w ciężkim trudzie układających, przed ponad stu laty, metr po metrze, tory kolejowe. Roślina zaborczo sięgnęła dalej niż kolej i w wielkiej obfitości obrasta rowy przydrożne, obrzeża lasów i jezior.

Polska nazwa rośliny wywodzi się wprawdzie od jej leczniczych właściwości, ale można by ją również odnieść do krwawicy pospolitej owych bezimiennych tysięcy *rallare*.

Ponad plamami i mgłami fioletu i purpury żyła bujna zieloność lasów.

Zimą taka podróż dyliżansem przez wielkie błękitnawe, różano-złote śniegi, przez lasy świątecznych choinek stanowiła urzeczywistnioną bajkę, której nie sposób było nie poddawać się.

Później jeździłam w dolinę Torne dwa, trzy razy do roku swoim samochodem. Zwielokrotniało to trud, ale i przyjemność samej drogi, która przekraczała 1400 kilometrów, i dawało możliwość dotarcia do daleko położonych osiedli, gdzie mieszkały niektóre z badanych rodzin.

Przeżycia samej drogi określiłabym, zupełnie ogólnie, jako dwojakiego rodzaju. Po pierwsze więc radością było rozpoznawanie znanych już miejsc – zapamiętanego domu z gankiem, stacji benzynowej przed skrzyżowaniem dróg, malowniczego zakrętu drogi, oczekiwanego mostu, uliczek idyllicznego miasteczka, przez które przejazd trwał krócej niż

minutę. To rozpoznawanie pamiętanych miejsc pozwalało czuć się mniej obco na tej obcej ziemi.

Innym przeżyciem był smak oczekiwania i przygody. Każdy przejazd dostarczał nowych wrażeń, nie zaplanowanych postojów, nieoczekiwanych spotkań z ludźmi i sytuacjami.

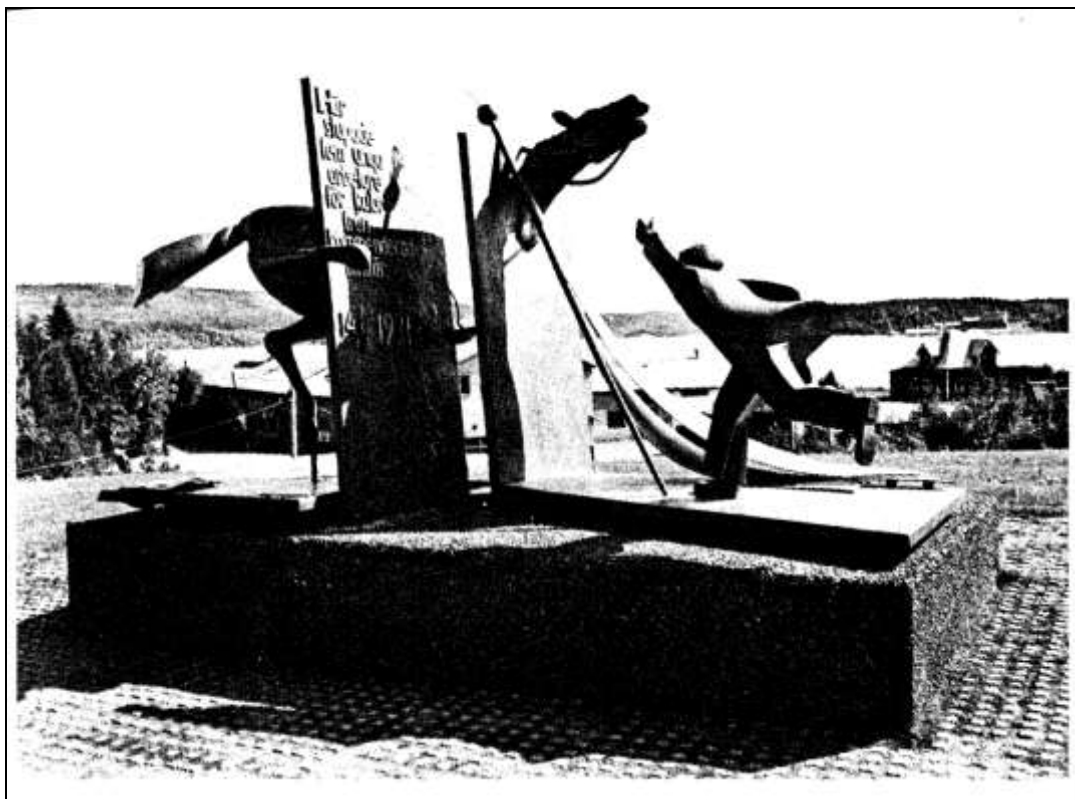
Wyjeżdżałam z Uppsali bardzo wczesnym rankiem i jadąc przez nudną płaską równinę Upplandii wiedziałam, że jadę ku bardziej urozmaiconym, coraz piękniejszym stronom. Właściwie pięknie zaczynało być już po pierwszych stu kilometrach i trzeba było bodaj na chwilę zatrzymać się w Älvkarleby, gdzie piękna rzeka Dale rozwidła się na trzy ramiona, aby ponownie złączyć się u stóp potężnego wodospadu. Za Gävle krajobraz stawał się coraz bardziej urokliwy, a droga coraz wyraźniej pięła się ku górze.

Jechałam nie przekraczając szybkości 80-90 kilometrów na godzinę, choć droga i przepisy dozwalały większą szybkość, a zdarzało się, że ktoś pragnący mnie wyprzedzić z irytacją ponaglał klaksonem. Jechałam, aby dojechać, ale także, aby tę drogę i jej uroki jakoś, choć trochę, w sobie zatrzymać.

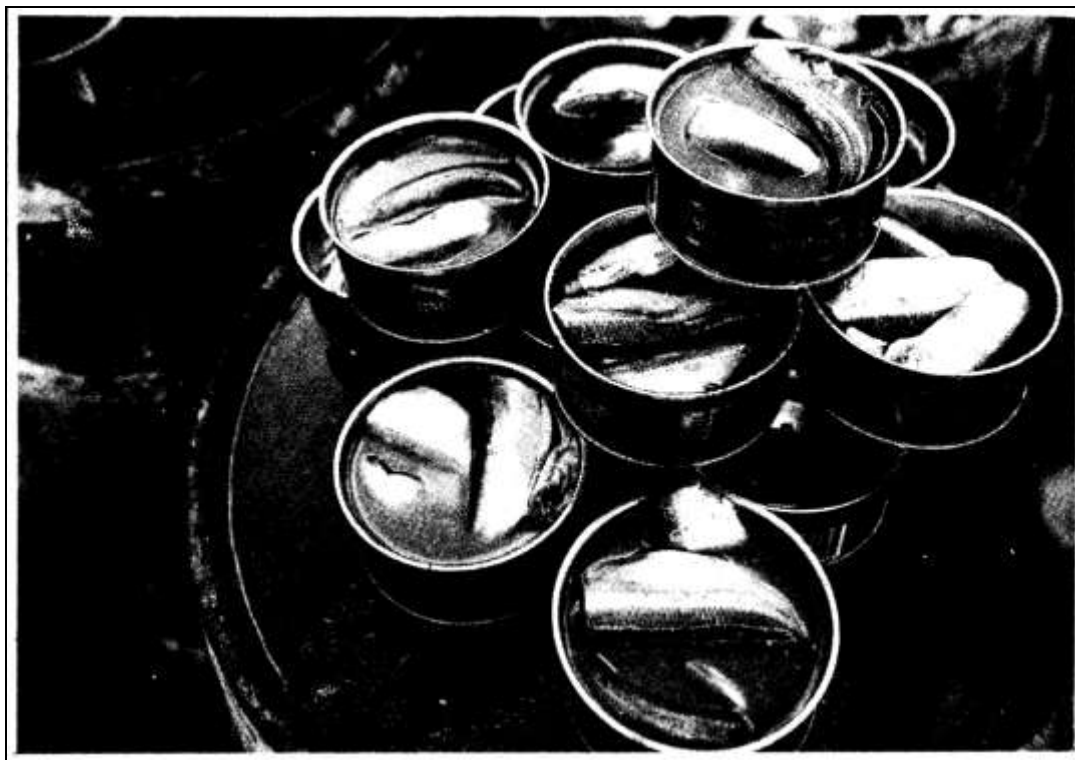
Zawsze jednakowym przeżyciem był przejazd ponad rzeką Ljusne. Sama jej nazwa, którą wywodziłam od słowa „ljus” – światło, wydawała mi się pokrewna polskiej „jasności”. I pełna jasności była ta wielka rzeka płynąca rozlewiskiem ku jezioru Marmen, przez wielu z nas pamiętanego z *Cudownej podróży*.

Droga omijała boki miasta Morza Botnickiego, Söderhamn, Hudiksvall nad fiordem tej samej nazwy, Sundsvall, zwany „miastem pomiędzy górami”, Härnösand, gdzie spędzałam wiele tygodni w archiwum na poszukiwaniach genealogicznych, dających porównać się z pracą powieściowego detektywa.

Zanim droga szerokim zakrętem wskakiwała na most Sandö, czterdzieści metrów ponad najpotężniejszą z rzek północy, zatrzymywała mnie na krótszą lub dłuższą chwilę w Lunde. Szwecja wspomina Lunde jako miejsce historycznych „zdarzeń 1931 roku” albo „niepokojów w Ådalen”, upamiętnionych oryginalną rzeźbą w brązie dłuta Clarhälla. Miejscowy cukiernik uruchomił „Cafe 31” w bezpośredniej bliskości tego pomnika i jednocześnie zamianował się cycleronem wokół niego, stwarzając tym sobie podwójne źródło dochodów na konto „zdarzeń”. Zdarzenia w maju 1931 roku, w dobie nasilającego się kryzysu, dotyczyły strajku robotników miejscowych zakładów przemysłowych, strzałów wezwanej konnej jednostki wojska, które padły znad rzeki i kosztowały życie pięciu przypadkowych osób.



Rzeźba dłuta Lenny Clarhälla upamiętniająca „zdarzenia w Lunde” 14 maja 1931 roku, podczas których pięć osób zginęło od kul konnego oddziału wojska wezwanego dla ochrony łamistrąjków, fot. Lars o Ingrid



Przysmak kuchni szwedzkiej importowany z wyspy Ulv, „surströmming” przeznaczony do spożycia po intensywnej fermentacji, fot. Per-Olle Stackman

Pijąc kawę w „Cafe 31” i przegryzając ją wysmienitym ciastkiem wypieku polskiej teściowej cukiernika-cycerona, myślałam nieodmiennie o podobnych i innych zdarzeniach w naszym kraju i nie o pojedynczych cyfrach, lecz hekatombach „przypadkowych osób”. Czy wystarczyłoby nam ziemi na pomniki?

Nocowałam zwykle w Docksta, starej centralnej osadzie Wysokiego Wybrzeża, nad głęboko wcinającym się w nie fiordem. Zajeżdżałam tam jakby do bliskich znajomych, do domu starszych państwa, którzy dawną rodzinną aptekę przekształcili w skromny przytulny hotelik. Wieczorem, po herbacie patrzyło się wspólnie na dziennik telewizyjny. Nie do pomyslenia w hermetycznych domach środkowej Szwecji.

Kiedyś, w drodze powrotnej z badań, pozostałam w Docksta o dzień dłużej, aby statkiem miejscowej żeglugi dojechać, ze zjawiskowo pięknym widokiem Wysokiego Wybrzeża po drodze, do wyspy Ulv. Leży na niej największa osada rybacka północnej Szwecji – prawdziwe królestwo śledzi. Tu nie tylko łowi się śledzie, sortuje, wędzi, soli, pakuje i eksportuje. Mieści się tu największa wytwórnia jednego ze szczególnych przysmaków szwedzkich – surströmming – odpowiedni gatunek śledzi poddany fermentacji w metalowych puszkach. Kiedy puszka wystarczająco „spuchnie”, spożywa się jej zawartość jako delikates, nie bacząc na straszliwy fetor. Co kraj to obyczaj. Mimo namów, nigdy nie zdecydowałam się na skosztowanie tego specjału.

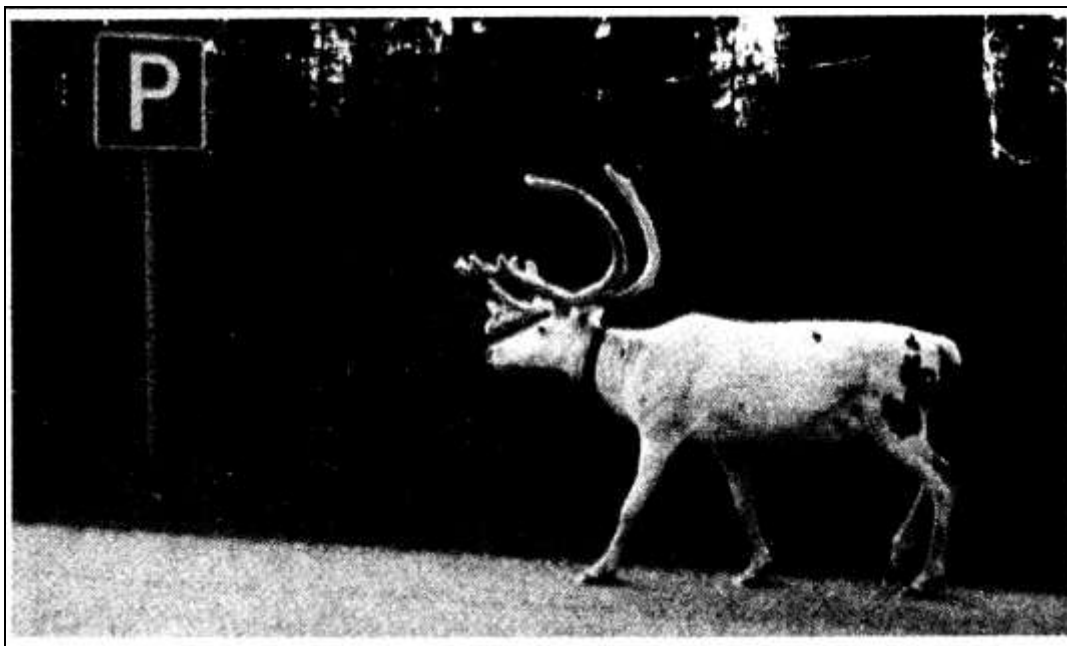
Mijało się Umeå, „miasto tysiąca brzoź” i młodego uniwersytetu. Słynne również tym, że wielokrotnie plądrowane i palone przez wojska rosyjskie, stało się też sceną ostatnich działań wojennych na ziemi szwedzkiej.

Żaden uchodźca z krajów wojny, bezprawia czy prześladowań nie powinien oczekiwać, że zostanie zrozumiany w kraju, który wojnę na własnej ziemi widział po raz ostatni w 1809 roku!

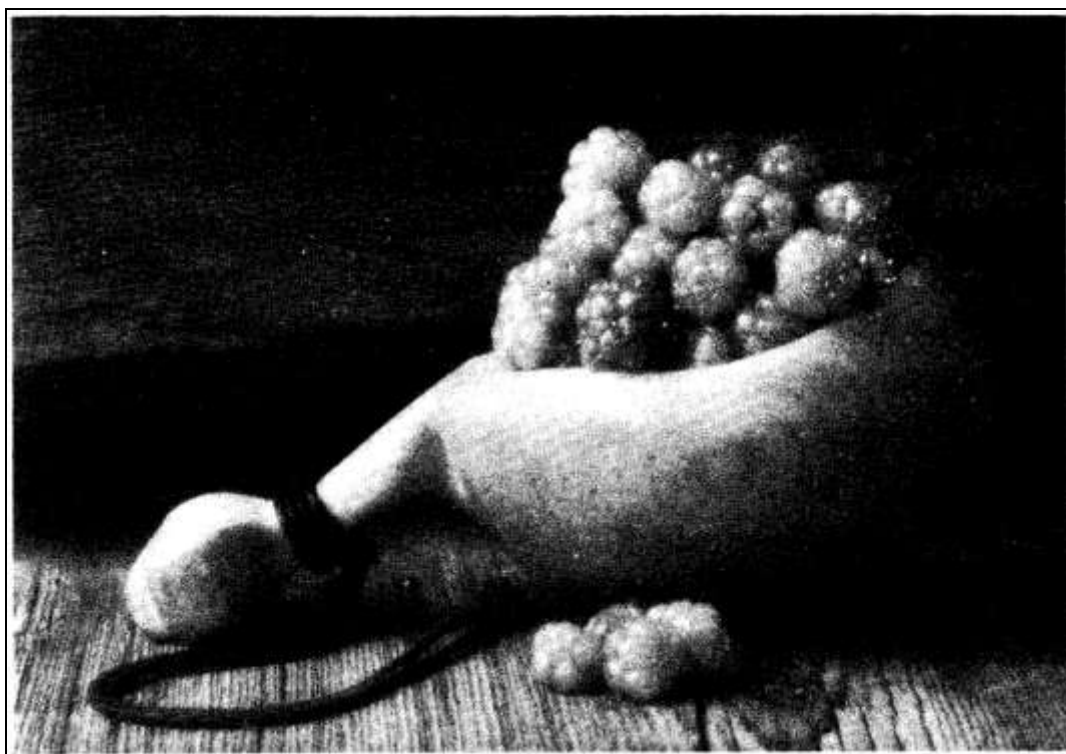
Trzeba było jeszcze minąć miasta nadbotnickie, drogą raz po raz przybliżającą się do brzegu morza – Skellefteå, Piteå, Luleå, aby opuścić główną arterię E4 i jechać drogą ku północy, wśród niekończących się lasów, czasem kilometrami i milami bez mijającego auta, bez śladu ludzkiego osiedla. Na drogę wychodził natomiast łoś imponującej urody, pyszny i nonszalancki w obnoszeniu swojej zwieńczonej głowy. Czasem jego dorodna „pani” wyprowadzała na pobocza szosy swoje potomstwo. W rowach przydrożnych na wpół oswojone reny skubały najspokojniej skąpą roślinność, albo też całym, srebrzyście mieniącym się stadkiem tarasowały sam środek drogi, całkowicie obojętne na nawoływania i poszczekiwanie klaksonów. Należało przeczekać ich fantazję korzystania z drogi.



„Król lasu” spotkany w drodze na północ, fot. Mark Ferrari



Ren korzysta z parkingu przy E4



Łyżka lapońska wypełniona owocami hjortron, fot. Jan-Peter Lahall

Oczywiście, droga nie zawsze dostarczała wrażeń tylko pozytywnych. Zdarzył mi się kiedyś przejazd, w mniej lub więcej ulewnym deszczu, na przestrzeni blisko tysiąca kilometrów, prawie aż do Töre, skąd już niewiele kilometrów dzieliło mnie od koła podbiegunowego. Wystarczyło na chwilę opuścić wóz w celu dopełnienia zapasu benzyny, abym dalszą drogę odbywała przemoczona „do nitki”.

Jeszcze mniej przyjemna była zawieja śnieżna, która zaskoczyła mnie w dniu 21 czerwca, w połowie drogi pomiędzy Pajalą a Muodoslompolo. Droga była wąska, wyboista, gliniasta i mało uczęszczana... Po obu jej stronach przeświecały przez rzadki i już karłowaciejący las, wśród mchów, pierwsze kwiaty hjortron⁴, jagody wyśmienitej, u nas nie znanej. Ta piękna kuzynka malin i jeżyn, owocująca w barwach koralu, bursztynu, miodu i złota, nazywana także, w rozumieniu podwójnym, „złotem Północy”, swoją niepozorną wielkością nie przekracza leśnych poziomek. Owocuje jagodami o wyszukany aromacie i smaku. Biel drobnych kwiatków niemal momentalnie zmieszała się z bielą płatków śnieżnych tej czerwcowej zamieci. Krajobraz wokół mnie zmienił się jak za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej. Niestety, moje możliwości podziwiania go były w tamtych okolicznościach ograniczone do minimum...

⁴ Nazwa łac.: *Rubus chamaemorus*.

Raz zdarzyło mi się zobaczyć na grubej pokrywie lodowej rzeki Torne ślad niedźwiedziej łapy. Było to dla mnie przeżycie, którym koniecznie chciałam się z kimś podzielić (dla miejscowych nie było w tym niczego niezwykłego) i wysłałam kartę do kraju, „rymem częstochowskim” opisując zdarzenie. Pamiętam z niego tylko ostatnie zdanie: „Ucieszyłam się ogromnie, że przede mną, a nie... po mnie!”

Na miejscu jest już tylko praca. Spotkania z ludźmi. Z chorymi i ich rodzinami, z pielęgniarkami rejonowymi, z pastorem i personelem urzędów parafialnych, z panią w księgarni, gdzie można także kupić dyplomy przekroczenia kręgu polarnego, wyroby Lapończyków z kości renów, skóry, cyny i srebrnego drutu, z paniami na poczcie. Chciałoby się powiedzieć po prostu – ze znajomymi. Tak się mianowicie stało, że mam tutaj więcej znajomych niż gdziekolwiek indziej. Więc przyjeżdża się po trosze jak do domu.

Prosto z nastroju podróży i przygody, powitań i spotkań, trzeba było zstąpić w głąb tragedii społecznej, rodzinnej i indywidualnej, która od szeregu pokoleń rozgrywała się w obrębie tej małej, kilkutysięcznej populacji. Można przypuszczać, że któryś z odległych przodków tej społeczności przyniósł w swoim bagażu genotypowym ową zapowiedź strasznej choroby, jakiej jej niewiadome zawiązki, ów złowrogi gen czy geny, które w warunkach długotrwałej izolacji geograficznej i biologicznej, i coraz intensywniejszego spokrewniania się rodzin, dały ów tzw. efekt założycielski – *founder effect* (ładny mi fundator!) obecnego obrazu epidemiologicznego.

Choroba szła po rodzinach, dopadała jej członków znienacka albo powolnymi zaburzeniami toku myślenia i narastającymi obsesjami. Podkradała się do młodych niespodziewanymi lękami albo strącała ich w apatię i negatywizm. Stanowiła swoistego rodzaju loterię, bo wybór jej padał ślepo, pomijał czasem rodzeństwo chorego, a uderzał w któregoś z kuzynów, przeskakiwał pokolenia, dotykał wnuka babki dawno zmarłej, albo od wielu dziesięcioleci dożywającej w zakładzie zamkniętym, poza wszelką świadomością samej siebie i życia.

Wielu z naszych młodych i najmłodszych pacjentów trafiło do lecznictwa psychiatrycznego poprzez zamierzone samobójstwo. Usiłowali je popełnić, a nierzadko ponowić tę próbę w ucieczce przed halucynacjami albo myślami prześladowczymi. Dwóch synów jednej z naszych najstarszych pacjentek popełniło samobójstwo w krótkim odstępie czasu i bez uchwytnej przyczyny. Można jedynie przypuszczać, że znając objawy choroby matki, wuja i innych dalszych krewnych sami zauważyli w sobie jej pierwsze oznaki.

Że choroba była dziedzicznie uwarunkowana, o tym wiedziano już od dawna, ale jaki był mechanizm i tor jego dziedziczenia i czego dotyczył, jakich czułych punktów centralnego

układu nerwowego i wewnątrzwydzielniczego, współistnienia jakich genów i gdzie uplasowanych – pozostawało jeszcze w sferze hipotez.

W czasie tych lat, głównie pomiędzy 1973 a 1980 rokiem, nasze badania rozrosły się, rzecz można – żywołowo. Mogę tu powiedzieć bez fałszywej skromności i zgoła nie ku samochwalstwu, że to ja rozbudowałam je i doprowadziłam do stanu intensywnej działalności. Stało się to możliwe dzięki warunkom pracy, jakie mi stworzono z chwilą, gdy profesor zorientował się, że moja „ciężka zatrudnialność” była zwykłym nonsensem, wynikiem biurokratycznego myślenia i działania i że żadną fikcyjną „pracą” nie mogłam i nie powinnam była zadowolić się. Wszystko, co mogło ułatwić i usprawnić moją dalszą działalność, zarówno w terenie badań, jak i w samym instytucie, zostało postawione do mojej dyspozycji. Sekretarki i maszynistki zdejmowały ze mnie trud przepisywania manuskryptów, korespondencji, zamówień, sprawozdań i wszelkiej w ogóle pracy biurowej. Adiustatorzy poprawiali moje szwedzkie i angielskie teksty, o ile nie robił tego odręcznie profesor, wyśmienity stylistą. Laboratorium fotograficzne wykonywało reprodukcje do bieżących publikacji i przezrocza do wykładów i zaplanowanych referatów zjazdowych. Wszelkie fundusze, o których istnieniu nie miałam przecież żadnego pojęcia, i stypendia, o które się nie ubiegałam, zaczęły mi być jak gdyby automatycznie przyznawane.

Z uczuciem pewnej goryczy musiałam od czasu do czasu porównywać moje tutejsze warunki i możliwości pracy badawczej z tymi, z którymi ja sama i inni koledzy w kraju, rzeczywiście pragnący i mogący dać coś z siebie nauce, musieli zmagać się, aż do utraty motywacji i chęci do pracy, rozkładu ambicji, wygasania entuzjazmu. Wciśnięci w ramy ograniczonych możliwości finansowych, uzależnieni od najczęściej anonimowych „zaopiniowań”, obserwowaliśmy jednocześnie panoszenie się protegowanych miernot, bujnie rozwijającą się florę kabotynów i karierowiczów.

Bardzo istotne znaczenie miała dla mnie współpraca, jaka stopniowo wywiązała się pomiędzy profesorem a mną. Okazaliśmy się sobie w równym stopniu wzajemnie potrzebni. Moja gotowość i sprawność działania obudziła go z wieloletniej inercji, w jakiej trwał zarówno z przyczyn osobistych i zdrowotnych, jak i z braku współpracowników, wystarczająco zaangażowanych interesującą go problematyką.

Badania nasze w szybkim rozwoju sięgnęły do współpracy z innymi placówkami naukowymi, z klinikami psychiatrycznymi, laboratoriami, pracownikami specjalistycznymi o różnych kompetencjach, zarówno w Szwecji, jak i poza jej granicami.

W stałym kontakcie z ordynującymi psychiatrami, miejscowymi placówkami leczenia otwartego oraz rodzinami pacjentów pobieraliśmy próby krwi, zarówno chorych, jak i

zdrowych członków rodziny, aby przekazać je dalszym analizom nad poziomem wybranych enzymów i tzw. markerów biochemicznych. Pobieraliśmy próby tkanek do hodowli fibroblastów, które przechowywane w płynnym tlenie, w temperaturze -72° , zachowały do dnia dzisiejszego zdolność powrotu do podstawowych funkcji życiowych i stanowią materiał do dalszych eksperymentów, które mogą otworzyć nowe możliwości poznania, a może również, w konsekwencji, i przeciwdziałania w tej najgroźniejszej a zarazem najczęstszej z chorób psychicznych.

*

Raz po raz złe wieści z kraju doganiały mnie w samym środku pełni działania, daleko poza kołem podbiegunowym. Krajem rządził teraz „ostatni książę śląski” Gierek. Miało być lepiej, ale nie było. Donoszono mi o kłopotach powszednich, o chorobach, o wzajemnej nieżyczliwości, o przedwczesnym ubywaniu ludzi młodszych ode mnie. Czytało się przygnębienie, rezygnację, czasem desperację, kiedy list pisany był „na gorąco”.

Koleżanka Z. popełniła samobójstwo jesienią 1974 roku, co było jedynie realizacją jej wieloletnich zamierzeń, które znałam. Kolega T. padł dotknięty rozległym zawałem mięśnia sercowego, tuż u szczytu swoich życiowych i zawodowych osiągnięć. Rozwiewały się w zapomnienie jego marzenia i plany, nad którymi prowadziliśmy kiedyś długie dyskusje nad filiżankami stygnącej kawy. Rozwiewały się jego wiersze, którym nadał kiedyś wspólny tytuł *Gwiezdny pył* i z których tylko dwie strofy pozostały w mojej pamięci:

...jesień przechodzi złocistym wrześnieniem,
rudym płomieniem zapala klony,
babiego lata nici rozwiesza
i chyli wierzby w niskich ukłonach...

Są kobiety od ciebie piękniejsze,
są też kraje ładniejsze niż Polska,
ale dla mnie jest jedna Ojczyzna
i kobiety jak ty – już nie spotkam.

Te strofki zapamiętane wplatają się teraz w tło mojej tęsknoty.

Złe wieści również o żyjących. Kolega S. był nadal bez pracy. Mogłam jedynie domyślać się dlaczego, czy raczej – przez kogo. Syn kolegów N., kiedyś blisko ze mną

zaprzyjaźnionych, zdefraudował, czy może tylko usiłował to zrobić, okazała sumę w miejscu pracy i proponowano, abym dla zatajenia czasu jego pobytu w więzieniu nadawała do kraju sygnały jego rzekomego pobytu u mnie...

Znajomy znajomych, którego nigdy nie widziałam na oczy, zwracał się z nieprzyjemnie uniżoną prośbą o przysłanie zaproszenia dla jego syna, który marzy o „wybraniu wolności”...

W miarę pogarszania się warunków bytowych w kraju zaczęły również przychodzić coraz liczniejsze zapotrzebowania na konkretne produkty. Mogły to być skromne prośby o baterijki do radia, wkłady do długopisu, gumkę do majtek czy kredki dla dziecka, ale przychodziły także szczegółowo sporządzone spisy niezbędnej białej bawełnianej i wełnianej, swetrów, skarpet i bucików „dla nas i dla dzieci”...

Mój chrzestny syn, który latami nie przypominał mi siebie nawet przy noworocznej okazji, ojciec trójki drobnych dzieci, przysłał dokładny wykaz potrzebnych produktów, dla ułatwienia podając w jakiej mają być formie i ilości. Pisał więc (cytuje): „Oleju każdą ilość – sugerowałbym w pojemnikach metalowych”.

Nie wyobrażano sobie, że mieszkając od kilku lat w kraju wielkiego dobrobytu nie mam możliwości spełnienia nawet części tych próśb i zastosowania się do najrozsądniejszych nawet sugestii... Od niedawna miałam własny etat *ad personam* i związane z nim przyzwoite pobory, nielitościwie okrawane podatkami i wpłatami na konto budującego się mieszkania.

„Prosiłbym o wełniany pulower, gruby, w tonie beżowym, z pół-golfikiem” pisał młodszy brat koleżanki, elegant, którego gustu nie zadowolilibym, nawet gdyby mnie było stać na spełnienie tego życzenia. Pulower z golfikiem? Nie miałam ani możliwości, ani pojęcia!...

„Czy nie znalazłabyś tam u was...?” – pytał ktoś inny o coś, co z pewnością było tu bez specjalnego szukania, ale niedostępne moim możliwościom finansowym...

Paczki, które usiłowałam jednak, w miarę moich możliwości, wysyłać do kraju, pozostawały najczęściej bez reakcji w sensie pokwitowania ich odbioru, tak że w dwóch przypadkach, naiwnie przypuszczając, że przesyłka zaginęła, złożyłam reklamację. Później „nauczyłam się”, że był to tylko objaw niezadowolenia z jej skromnej zawartości.

Poza listami zaczęły zdarzać się również odwiedziny z kraju, zanim wprowadzono jeszcze obowiązek posiadania wiz, zwłaszcza kiedy po dwóch latach dojeżdżania przeniosłam się do Uppsali. Odwiedziny te układały się w pewien wzorzec, który nie od razu pojęłam. Najpierw więc przychodziła kartka z życzeniami noworocznymi czy imieninowymi i dawała mi przyjemny moment wzruszenia, że o mnie nie zapomniano, że jednak... Po pewnym czasie przychodził miły list z luźnym, zupełnie nie zobowiązującym pytaniem, czy

można mnie podczas pobytu w Szwecji odwiedzić, na co odpowiadałam z całą gotowością, szczerze ciesząc się na spotkanie, nie z bliską wprawdzie, ale znajomą osobą z kraju. Osoba przybywała, małym lub dużym fiatem, w towarzystwie rodziny, z mnogością paczek, toreb i różnego rodzaju bagażu, z którego spływały na mnie dary w postaci krajowych spirytualiów i cepeliowskiego folkloru. Raźnie roztasowywano się na dłuższy pobyt. Z czasem stałam się bardziej ostrożna i przewidująca oraz mniej sentymentalna i gościnna, co uruchomiło falę obrażonych i obraźliwych komentarzy.

– Uprzedzono mnie – powiedziała mi na pożegnanie pewna magister chemii, znajoma znajomych, w poszukiwaniu szwedzkiego męża, po tygodniowym pobycie w moim domu – że Polacy za granicą są bardzo nieuczynni.

Coraz liczniej zaczęły też przychodzić listy z prośbami o „załatwienie” pracy dla syna-zięcia-szwagra-siostrzeńca i z reguły nie wierzono mi, że moje bardzo ograniczone kontakty osobiste nie sięgają źródeł „czarnej roboty” czy ściślej roboty „na czarno”.

O ile te listy, nieproszone, wymuszone wizyty, mniej lub więcej przypadkowe kontakty z krajem pozostawiały po sobie przykry, ale krótkotrwały niesmak, o tyle trudniej było przyjmować epilogi niektórych odwiedzin osób zapraszanych serdecznie i oczekiwanych z utęsknieniem. Zapraszałam, kiedy to już stało się możliwe, ludzi, których uważałam za życzliwych mi, bliskich, którzy wchodzili jako ważne elementy składowe w obrazy mojej pamięci i tęsknoty.

Oczekiwani ze szczerym wzruszeniem, przyjmowani, jak to umiałam najlepiej, obdarowani na drogę powrotną zwykle ponad miarę moich możliwości, żegnani serdecznie, po wyjeździe przestawali dawać znaki życia. Nie rozumiałam tych milczeń. Po jakimś czasie dopiero, przypadkowo, przez osoby trzecie, dowadywałam się ze zdziwieniem, że żywią do mnie jakieś pretensje. Kiedy podobna sytuacja powtórzyła się trzy czy cztery razy, zaczęłam głębiej zastanawiać się nad jej przyczynami. W czym tkwił błąd?

Znajdowałam tylko jedno możliwe uzasadnienie tego schematu postępowania. Przyjeżdżali, na pewno w najlepszych intencjach, może i z serdecznością, ale przyjeżdżali z kraju pustych pól, długich kłótliwych kolejek, tysięcznych braków i trudności, wzajemnej nieprzychylności powszedniej, ogólnej szarzyzny i przygnębienia. Przyjeżdżali do kraju dobrobytu, w którym wszystko było do kupienia, do wybrania, gdzie spokój i grzeczność na każdym kroku wychodziły naprzeciw. Odjeżdżając, jak ciężkie i wypakowane nie byłyby ich walizki i torby podróżne, pozostawiali za sobą to wszystko, czego im już jutro zabraknie w kraju. Rozpakowując bagaże czuli znikomość przywiezionych dóbr... Zawstydzająco, irtujaco i skapo przedstawiała im się zawartość walizek wobec świadomości tego, co

pozostało poza nimi... A z całym dobrobytem, zbytkiem i przypisywaną mi bez troską – pozostawałam ja. Milczano więc, milczano gniewnie i zawistnie. Sformułowana moimi doświadczeniami reguła: „Przyjeżdżają przyjaciele – wyjeżdżają wrogowie”, niestety, potwierdziła się wielokrotnie.

*

Indywidualne losy i tragedie ludzkie w dolinie Torne stopniowo oddalały mnie od moich własnych spraw, cierpień i rozważań, z lekka zacierały kontury zdarzeń przeszłych, łagodziły ostrość widzenia siebie, w jakiś szczególny sposób sprzymierzały z czasem teraźniejszym. Przyczyniały się do tego również spotkania z niepospolitymi indywidualnościami wśród tamtych ludzi, pozornie najskromniejszych, najpospolitszych w świecie.

Siedziałam kiedyś przy stole kuchennym w jednym z domów, domu gościnnym, gdzie byłam nie po raz pierwszy, na porannej owsiance albo na kawie z serem. Ser do kawy, w kostkę krojony, jest specjałem lokalnym, o którym nikt w pozostałych częściach Szwecji nie słyszał. Tylko niektóre gospodynie zachowały umiejętność przyrządzania go. Ma konsystencję mocno zagęszczonej siary, sprasowanej w wielkie okrągłe placki. W osłodzonej kawie smakuje wyśmienicie.

Gospodyni, nieco starsza ode mnie. Opowiada mi historię swego życia, które określa jako bardzo, bardzo szczęśliwe. I słyszę o domu podrzutków, o pobycie w sierocińcu, o dojrzeniu w domu przybranych rodziców, o narzeczeństwie z bardzo biednym chłopcem... Zdaję sobie sprawę, że ta sama historia mogłaby być opowieścią smutną i gorzką, gdyby treść zdarzeń nie przechodziła przez filtr tak jasnego i pogodnego widzenia życia. I uczę się.

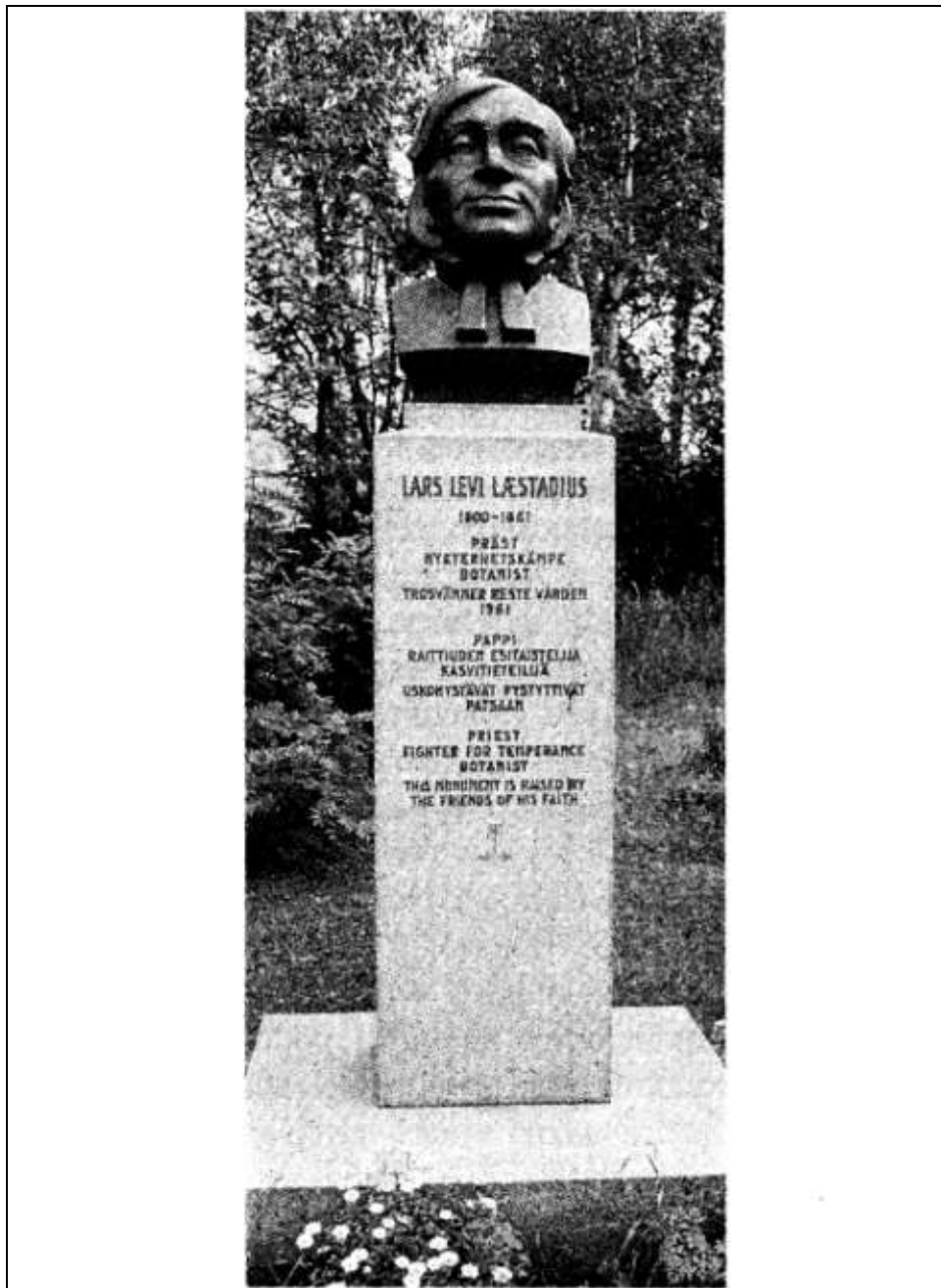
Ale i umarli mogą tu uczyć. Wiele mam do zawdzięczenia poznaniu osobistości niepospolitej i fascynującej, zeszlowiecznego proboszcza parafii Pajala – Larsa Lewiego Laestadiusa⁵.

Zanim Laestadius swoimi płomiennymi kazaniem rozniecił ogień ruchu odnowy religijnej, który w ciągu kilku lat objął całą niemal północ Europy, od fiordów Norwegii, poprzez Laponię i Finlandię, aż do Morza Białego i Archangielska, był ubogim proboszczem w głębi tundry, w Karesuando. Ale był jednocześnie znakomitym badaczem przyrody, przede wszystkim botanikiem, autorem prac i artykułów, które czytali z zainteresowaniem uczeni na katedrach Europy. Ze swego Karesuando, dalekiego nie tylko od wszelkich ośrodków nauki, ale od cywilizacji współczesnego świata, słał korespondencję do Paryża, Londynu,

⁵ (1800–1861), z rodziny duchownych, częściowo pochodzenia lapońskiego.

Edynburga, Berlina i Florencji. Zamawiał książki u wydawców niemieckich. Trudno mi sobie wyobrazić, jaką drogą do niego docierały i jak je pochłaniał przy świetle łożówki w swojej kurnej chacie.

Do tej kurnej chaty trafił w końcu lat trzydziestych XIX wieku Gaimard na czele francuskiej ekspedycji do bieguna północnego. Dwie rzeczy musiały w równie wielkim stopniu zadziwić profesora Sorbony: nieprawdopodobne ubóstwo i prymitywizm warunków życia szwedzkiego uczonego i rozległość jego wiedzy. Za udział w ekspedycji i za zasługi dla nauki francuskiej Laestadius został odznaczony Legią Honorową.



Znakomity botanik i działacz społeczny Lars Levi Laestadius, zwany „apostolem Północy”

Ale cudzoziemscy uczeni, którzy odwiedzili słynnego proboszcza w 1844 roku, znaleźli jego zainteresowania zwrócone w innym kierunku. Źle działo się wtedy na tej ziemi pomiędzy wszystkimi granicami. Tędy prowadziły drogi handlowe, nie zawsze bezpieczne, przywabiające rabusiów i złoczyńców różnego rodzaju. Tędy szmuglowano zagrabione dobro i uprowadzone konie. Tutaj szukali kryjówek przestępcy zbiegli z południowych dzielnic kraju. Tu pędzono wódkę w wielu domach, a do rozpowszechniania się pijaństwa przyczyniały się także, tu jak i gdzie indziej, zarządy hut, wypłacające część zarobków robotników w naturze, a głównie w wódce. W ślad za opilstwem szła wielka niedola rodzin, niedostatek, niezgoda, brutalność i ogólne rozluźnienie obyczajów. Bito się i zabijano, gwałcono sąsiedzkie córki, znęcano się nad nieślubnymi dziećmi, Laestadius widział to wszystko i odłożył na bok niedokończone prace i zielniki. Przystąpił do walki o dusze swoich parafian.

Grzmiał Lars Lewi Laestadius ze swojej ambony i ze wszystkich innych miejsc, z których jego głos mógł dochodzić gromadzonych i gromadzących się coraz liczniej parafian. W zapamiętaniu swoim nie przebierał w słowach i nie szczędził nikogo. Używał słów ciężkich i grubych, uderzał w parafian ich własną bronią. Grzmiał przeciwko demonom pijaństwa i rozpusty, przeciwko tym, co wódkę warzą, tym, co ją sprzedają, i tym, co ją piją.

Podczas moich pobytów w Pajali przeczytałam wszystko, co napisano i wydrukowano o Laestadiusie i jego działalności, zarówno w jej początkach, jak i w jej pełnym, żywiołowym rozwoju, gdy w 1849 roku został proboszczem parafii Pajala. Przeczytałam także trzy tomy jego kazań i nie uważam, aby ten czas był stracony. Uczyłam się.

Do walki wydanej pijaństwu i ogólnemu obniżeniu moralności zwerbował Laestadius licznych pomocników, nauczał ich i rozsyłał po wszystkich rubieżach północnych, aby wzywali ludzi do poprawy, do wyrzeczenia się nałogu pijaństwa, do powrotu do praw Bożych. W gorliwości swojej Laestadius, człowiek światły, nie przewidział jednak niebezpieczeństwa fanatyzmu, jaki zaczął narastać wokół niego i jego zwolenników. Jego adepci wypaczali często jego nauki i intencje, „nawracali” ludzi straszliwymi groźbami, wizjami, którymi podniecali ich wyobraźnię. Powstawały zbiegowiska ruchu odnowy kończące się tumultem, przechodzące w niszczycielskie orgie, w porachunki między zwolennikami a przeciwnikami ruchu.

Kiedy ruch, zwany dziś laestadianizmem, rozpętał się przybierając na sile i przekształcając się w coraz bardziej opaczne formy, Laestadius nie był już w stanie opanować go, ujarzmić i skierować na tory racjonalnego, usystematyzowanego działania. Zmarł w 1861 roku, w dniu ukończenia budowy nowego kościoła w Pajali.

Dziś parafia jest w swojej przeważającej większości „laestadiańska”. Goszczący mnie wielokrotnie proboszcz nie był przez parafian mile widziany, gdyż, jak mi wyjaśnił, należy do innego odłamu laestadianizmu... Nie wtajemniczam się już w subtelności tych różnic.

Jak więc wyglądają „laestadiańskie” osiedla, które odwiedzałam w związku z badaniem rodzin pacjentów co najmniej dwa razy w roku przez kilkanaście lat? Na pozór domy i wille, z ich garażami, ogródkami przydomowymi, wystrzyżonymi trawnikami, nie ustępują nowoczesnością i standardem domom w innych częściach pływającego się w dobrobycie kraju. Ale w oknach wielu domów nie dostrzeże się zasłon ani firanek, określanych mową „apostołów” Laestadiusa jako „kalesony diabła” – bo tylko to, co występne i grzeszne, musi się kryć przed ludzkim okiem... W niektórych domach nie korzysta się z udogodnień elektrycznych pralek, bo przez ich okrągłe okienko zobaczyć można wirującą białiznę obojga płci i doznać grzesznych pragnień. Ostatnio, już w latach osiemdziesiątych, fanatyczni laestadianie rozbili w czyimś domu pralkę, tak jak za czasów nie mogącego już poskromić swoich adeptów proboszcza napadano miejsca wyszynkowe i rozbijano kadzie z samogonem.

Laestadianizm żyje dziś w różnych odmianach, czasem sprowadzających się tylko do abstynencji, czasem w karykaturalnie wypaczonych formach. Wraz z emigrantami z północnej Skandynawii przekroczył on Atlantyk i na odbywające się co jakiś czas kongresy laestadian zjeżdżają się ze wszystkich stron potomkowie emigrantów. Byłam z pastorostwem z Pajali na koncercie w przedziwnym kolorowym kościółku w Korpilombolo podczas takiego światowego zjazdu laestadian. Wrażenia, które można by spisać w oddzielnym, głębiej przemyślanym szkicu, w każdym razie – wrażenia niezatarte.

Sortuję w swojej pamięci moje dawne pobyty w Pajali i wsiach okolicznych, moje rozmowy z pastorem i moje myśli nad grobem Laestadiusa i jego żony, niepospolitej, nie tylko jak na owe czasy, działaczki społecznej, bardziej umiarkowanej, zrównoważonej i subtelniejszej niż jej mąż, już za życia zwany przez przeciwników „szalonym proboszczem”, a po śmierci, ironicznie – „prorokiem”.

Myślę także o ludziach tamtych stron, dzielnych, przedsiębiorczych, przyjaznych i gościnnych, niosących z pokolenia na pokolenie nie rozpoznane jeszcze geny strasznej choroby.



Kościół w Korpilombolo z kolorowym fryzem z 1894 roku wewnątrz i krzyżem w ołtarzu ozdobionym pięcioma krzewami róż symbolizującymi pięć ran

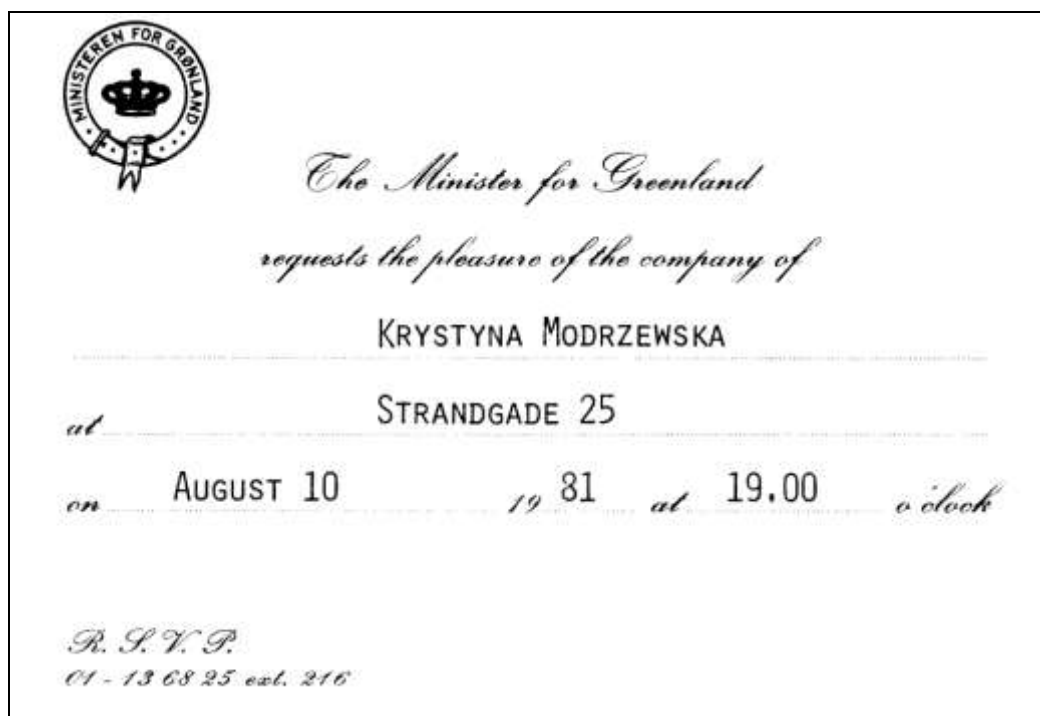
Na ich losach budowałam moje kolejne osiągnięcia i późniejsze sukcesy. Na sympozjach, w Atenach (1976), Mariehamn (1978), Dubrowniku (1980), Kopenhadze (1981), Jerozolimie (1981), Zurychu (1982) i Umeå (1983) przedstawialiśmy – ja i inni – wyniki badań nad psychozami schizofrenicznymi tego małego skrawka podbiegunowej Szwecji.

Dla mnie osobiście te zjazdy i konferencje miały znaczenie jak gdyby powrotu do życia, bodaj na krótki czas ich trwania. Czulałam się w żywiole znanym mi i własnym. Spotykałam ludzi znanych dawniej i takich, których znałam tylko z tytułów ich publikacji, albo odkryć lub syndromów, którym użyczyli swego nazwiska. Z czasem zaczęłam spotykać i takich, którzy mnie znali jedynie z publikacji ostatnich lat i szukali dyskusji.

Raz, w październiku 1984 roku, wybrałam się także w dziedzinę moich dawnych zainteresowań, po trosze w nadziei na spotkanie tam polskich kolegów z kręgu antropologii stosowanej. Przedmiotem tego międzynarodowego sympozjum, zorganizowanego przez Słowacką Akademię Nauk w Bratysławie, były mianowicie badania nad dermatoglifami – listewkami skórnymi, które stanowiły do zupełnie niedawna najistotniejszy dowód identyfikacyjny każdego z nas. Spotkałam tam sędziwą a niezmordowaną prof. Weninger, która przyjechała porannym autobusem z Wiednia, dawnych kolegów czeskich, antropologów z całego niemal świata. Z Polski była tylko jedna osoba, całkowicie mi nieznana asystentka katedry krakowskiej. W dyscyplinie, która wciągnęła mnie już we wczesnej młodości w szeroki krąg swoich zainteresowań, nie było jej, gdy opuszczałam kraj. Jak się okazało, była to osoba przypadkowo odłowiona z zawodu i stanu nauczycielskiego w poszukiwaniu chętnych do akademickiej, bardzo pi obciema tycznej kariery w zakładzie uniwersyteckim nieczynnym prawie, z wolna wegetującym z braku stymulujących ludzi ani pasjonującej problematyki. Okazało się jednak, że ta dziewczyna chciała i potrafiła z przypadkowości tej zrobić coś dla nauki, obumierającego zakładu i dla samej siebie sensownego. Weszła w wąziutki co prawda dział badań, ale zrobiła to w sposób gruntowny i konsekwentny. Nie mając szerszego spojrzenia na zagadnienia biologii człowieka, skoncentrowała swoje zainteresowania na mrówczych analizach układu dermatoglifów ludzkiej dłoni. Można zajmować się i tym, jeśli ktoś się na to decyduje. Ona zdecydowała się w sposób poważny, zaangażowany i to mi wystarczyło, aby uszanować te jej, nie interesujące mnie, studia.



Symposium Europejskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka, Dubrownik 6–8 października 1980 roku



Zaproszenie na bankiet wydany przez Ministra Grenlandii dla uczestników V Międzynarodowego Sympozjum Zdrowia Ziemi Podbiegunowych, Kopenhaga 9–13 sierpnia 1981 roku

Z uczuciem szczerzej satysfakcji wysłuchałam jej referatu, nie odkrywczego wprawdzie, ale w dobrej formie i w przyzwoitej angielszczyźnie, w jaskrawym odróżnieniu od szeregu referatów z krajów tzw. bloku wschodniego, przedstawiających swoje wyniki, być może interesujące i cenne, ale w języku rosyjskim, niezrozumiałym dla znacznej większości międzynarodowego gremium. Ta swoista nonszalancja wyraźnie wskazywała na to, że chodziło o wygłoszenie, czy ściślej – odczytanie swojej rzeczy, zapewnienie jej przyszłego ukazania się drukiem, a tym samym doliczenia kolejnego numeru do własnej bibliografii. Dyskusja nad referowanymi pracami nie była im najwidoczniej potrzebna. Koleżanka z Krakowa nie unikała dyskusji ani nad swoimi, ani nad innymi zagadnieniami. Łatwo też można było zauważyć, że wielu spośród uczestników sympozjum znało ją już z dawniejszych spotkań i okazywało wyraźną koleżeńską sympatię.

Przyszło mi na myśl, że przypuszczalnie nie życzyłabym sobie asystentki o tak ograniczonych zainteresowaniach, ale może, mając taką asystentkę, zdołałabym skierować jej zainteresowania i entuzjazm na tory bardziej fascynujących zagadnień.

Niestety, z biegiem lat uczestniczenie we wszelkich naukowych spotkaniach stawało się coraz uciążliwsze i to z dwóch bardzo istotnych przyczyn jednocześnie. Pierwszą stanowiło przykre zjawisko, które można by określić jako „objaw wieży Babel”. Otóż w miarę opanowywania języka szwedzkiego i wyłącznego posługiwania się nim w życiu codziennym zatracalam swobodę posługiwania się w mowie innymi, dawniej dość dobrze znanymi językami obcymi – niemieckim, angielskim, a nawet włoskim. Słowa gubiły się, mieszały, stwarzały niezrozumiałe makaronizmy. Nie zauważając tego, nadawałam słowom niemieckim szwedzką wymowę, angielskim – szwedzkie końcówki, a włoskim – germańskie trzony do romańskich końcówek i odwrotnie. Zauważyłam to już na jakimś spotkaniu w Uppsali, ale ostatecznie niemożność wzięcia udziału w ważnej dyskusji panelowej podczas VI Międzynarodowego Kongresu Genetyki Człowieka w Jerozolimie zdecydowała o moim wycofaniu się z tej formy udziału we współpracy naukowej.

Drugą ważną przyczyną było stwierdzenie, że nie nadążam za rozwojem nauk biologicznych. Żywiłowy rozwój genetyki biochemicznej i molekularnej pozostawiał mnie coraz bardziej w tyle poza poziomem aktualnej wiedzy i jej problematyki. Stwierdzenie, że coraz liczniejsze zagadnienia, będące przedmiotem dyskusji, nie tylko na poziomie zjazdów naukowych, ale także seminariów instytutowych, są mi obce – kazało usunąć się na pozycje własnych możliwości.

*

Moja dysertacja doktorska dotyczyła biologicznych losów dzieci naszych pacjentów, ich rozwoju, zachorowalności i upośledzeń.

Gdybym miała odpowiedzieć na pytanie, po co doktoryzowałam się w 1980 roku na uniwersytecie w Uppsali, skoro stopień i tytuł doktora uzyskałam *cum laude* już w roku 1948, odpowiedziałabym przypuszczalnie, że dla satysfakcji okazania własnej samodzielności i sprawności naukowej, w gruncie rzeczy zakwestionowanej początkowym zatrudnieniem mnie w charakterze *arkivarbetare*. Może odpowiedziałabym tylko, że dla satysfakcji – wbrew mojemu zaawansowanemu wiekowi i innym obiektywnie niesprzyjającym okolicznościom. Mogłabym powiedzieć, że dla samej przyjemności ściśle sprecyzowanego i umotywowanego działania i pokonywania jego kolejnych etapów. Byłyby to jednak tylko cząstki prawdy. Natomiast cała prawda byłaby trudna do wypowiedzenia, chociażby dlatego, że spotkałaby się z łatwym do przewidzenia niedowierzaniem. Któż uwierzyłby, że zależało mi głównie na cylindrze?...

W rytuał promocyjny na uniwersytetach szwedzkich wchodzi uroczyste włożenie przez promotora na głowę promowanego cylindra z emblematem wydziału oraz wręczenie złotej obrączki doktorskiej i dyplomu. Nie mogę oczekiwać, aby ktokolwiek zrozumiał, co dla transwestyty oznacza oficjalne uroczyste włożenie cylindra na głowę, danie mu szansy stanięcia w nim we wspaniałej, rześciste oświetlonej, również i na moją cześć, neorenesansowej auli, przed fotelami magnificencji i ekscelencji, dostojnych *honoratiores* i ponad dwóch tysięcy zgromadzonych gości. Kto mógłby zgadnąć, że był to triumf nie moich naukowych sukcesów, ale najbardziej osobistej prawdy?! Wydawało mi się, że momentem tym osiągnęłam *apogeum* mojego życia. Myliłam się jednak i trzeba mi było czekać jeszcze ponad sześć lat, abym poczuła się na rzeczywiście szczycie moich życiowych osiągnięć.

Zamierzona autopsychologia, czy po prostu – spowiedź generalna wobec tej cząstki boskości, która – uświadomiona lub nie – tkwi w każdym z nas, a którą ja odczuwam jako Obecność, nie ustała nigdy, ale wyraźnie zmienił się jej charakter i wtedy musiałam zrozumieć, że została mi udzielona łaska żalu doskonałego, czego nie umiem, nie mogę i nie chcę nazwać inaczej.



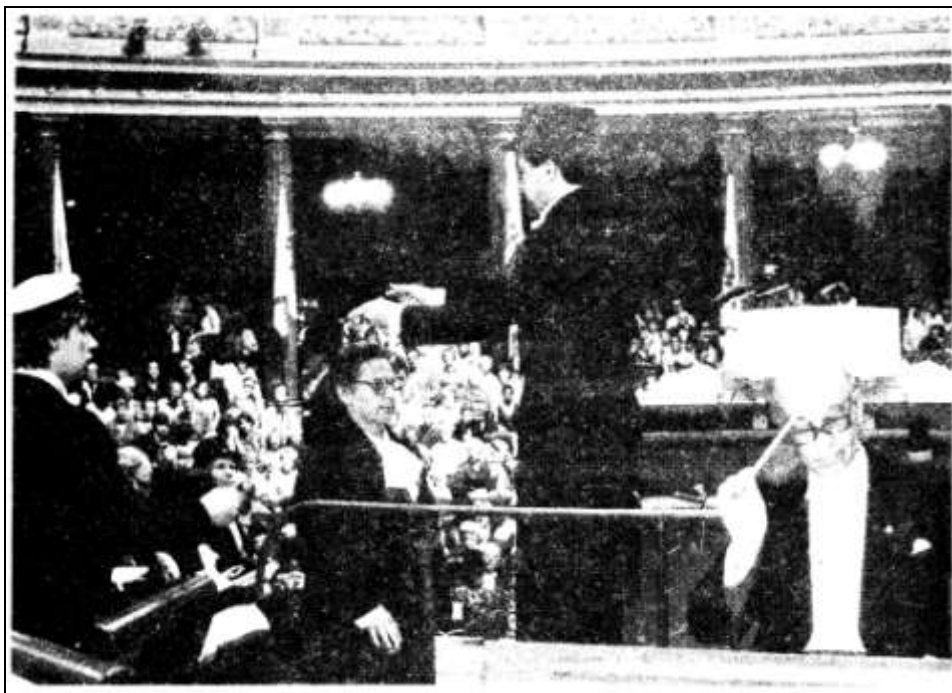
Podczas obrony pracy doktorskiej 22 lutego 1980 roku. Stoi prof. Jan-Arvid Böök



...i po obronie



Aula Uniwersytetu Uppsalskiego podczas uroczystej promocji



Accipe piram! Accipe anulum! Accipe diploma! Vale praeclarissime doctor!



Z prof. Janem-Arvidem Böökiem po promocji, 6 czerwca 1980 roku

Żal najdoskonalszy nawet nikomu wprawdzie nie mógł wrócić życia, nikogo przebłagać ani pocieszyć, niczego w życiu czyimkolwiek ani moim własnym zmienić, ale który po latach błędzenia i szamotania się we własnym mroku pogodził mnie z moim czasem pokutnym i nappełnił wielkim wewnętrznym spokojem, jakiego nigdy dotychczas nie zaznałam. Musiałam także zrozumieć, że po to, aby dojść, bodaj pod koniec własnej drogi, do tego stanu wewnętrznej ciszy i harmonii, potrzebne było moje uchodźstwo, ze wszystkim, co ono oznaczało i niosło ze sobą, moja śmierć cywilna, moje siebie samej rozdarcie, możliwość i odwaga wglądu w siebie, w swój czas przeszły z całą jego złą i gorzką prawdą. Mogło to dokonać się tylko w tym nowym, obcym, beznamiętnym istnieniu, pozbawionym osobistych problemów, konfliktów, jakichkolwiek w tym moim niezyciu urazów i stresów, które by wychodziły z otoczenia.

*

Podczas mijających lat tęsknota powracała mniej lub więcej natarczywymi atakami. Jeden z nich zagnał mnie na pokład samolotu odlatującego z Arlandy do Warszawy. Zatrzymano mnie na Okęciu i pod eskortą czerstwego, z lekka ironizującego podporucznika, odprawiono do tego samego samolotu. Szwedzkiej stewardessie było przykro.

W dwa lata później wyjechałam z portu w Nynäshamn, aby tym samym promem powrócić następnego dnia. Czerstwy podporucznik w porcie gdańskim, zaledwie rzuciwszy okiem na moje nazwisko w szwedzkim paszporcie, oznajmił, że nie jestem tu pożądana.

– Panią się będzie deportować...

Towarzyszył mi do nadbrzeża, niosąc walizkę, bynajmniej nie z rycerskości, ale z dobrze pojętego obowiązku służbowego, abym „którędyś bokiem” nie wtargnęła do miasta.

Profesorowi i moim szwedzkim kolegom, z którymi te lata współpracy i różnych instytucyjnych i osobistych uroczystości i okazji, związały mnie przyjaźnią – na tutejszą miarę, niewylewną, odmierzoną, ale szczerą i spolegliwą – było przykro. Profesor umyślił więc, aby mnie wydelegować służbowo do jednego z uniwersytetów polskich. Odpowiednie oficjalne papiery poszły do Konsulatu Generalnego PRL i wróciły z nieumotywowaną odmową. Wszystkim było bardzo przykro.

Raz jeszcze poprosiłam władze konsularne PRL o udzielenie mi wizy i odmówiono mi. Postanowiłam nigdy więcej nie narażać się na te upokorzenia i pogodzić się z myślą, że zobaczenie swojego kraju stało się o jedną więcej niemożliwością w moim życiu.

W październiku 1986 roku przyszedł list, którego nie oczekiwałam. Było tam napisane: „Serdecznie zapraszamy Panią do wzięcia udziału we wszystkich imprezach, które

planujemy. Szczególnie gorąco prosimy Panią – naszego nauczyciela i wychowawcę – o wygłoszenie krótkiego wykładu z tej dziedziny wiedzy, którą Pani była uprzejma wyklądać na naszym roku”. Wtedy po raz pierwszy w życiu płakałam ze szczęścia. Po raz drugi płakałam w telefon, kiedy urzędniczka Konsulatu PRL powiedziała, że wiza została mi udzielona, Zdołałam powiedzieć jej tylko: „Niech pani Bóg da zdrowie...”

Wstałam więc raz jeszcze na pałacowe schody, weszłam na Salę Kolumnową, jak przed trzydziestu pięciu laty, i mówiłam do nich, jak wtedy, z głębokim pragnieniem, aby dać im słowa najtreściwsze i najpiękniejsze. I to był mojego życia punkt szczytowy.



Lata współpracy i instytucyjnych uroczystości związały mnie przyjaźnią ze szwedzkimi kolegami. U mnie w Uppsali na czerwonym barszczu. Od lewej: doc. Lars Gustav Lundin, mgr Jeanette Backman, dr Eva Håkanson, doc. Berta Santesson, lab. Lena Karman, Autorka, inż. Stig Söderberg



Na apogeum życia, 12 września 1987 roku



Reszta wydawała się już tylko oczekiwaniem, spokojnym przebywaniem w wygodnej własnej dziupli na skraju lasu...

Przyjazd do kraju po siedemnastu latach nieobecności i niedostępności nie był powrotem do życia, bo „nie wędruje się po śmierci”. Był tylko powrotem do określonej części mojego czasu przeszłego. Był spotkaniem z ludźmi, w których pamięci zostałam tym, co chciałam im dać ze siebie. Było to zarazem spotkanie z miejscami, w których dokonały się ostatnie lata mojej młodości.

Grób mojej matki, której łez wylanych przeze mnie starczyłoby, nawet gdyby nie stały się kamieniami, na ukamienowanie mnie, zaprowadził mnie także do miasta mojego ostatecznego upadku, miejsca złego gdzie zawiodło mnie wszystko i wszyscy, i z którego wyszła droga mojego wygnania.

Nie mogłam odnaleźć jej grobu. Długo błądziłam pomiędzy alejkami i kamieniami nagrobnymi, ściskając w ręce łodygi kilku zawstydzająco spóźnionych kwiatów. Nie poznawałam miejsc. Tyle lat, tylu nowych zmarłych i tylu już zapomnianych, których nagrobki zniknęły. Drzewa, które kiedyś były krzewami, albo w ogóle jeszcze nie istniały. Znalazłam w końcu.

– Tu leży moja matka.

*

Odkąd wolno mi jeździć do kraju przestałam odwiedzać Wyspy Kanaryjskie, Maderę i Naxos na Sycylii. Jeżdżę do kraju, ale znajduję tam coraz więcej miejsc, których nie poznaję i spotykam ludzi, z których wielu zmieniło się nie do poznania. Znam ich czy nie znam? Czy tylko znałam? Czy znałam ich rzeczywiście, czy tylko tak mi się zdawało? Co w ludziach jest ich prawdą, a co wykoślawieniem nienormalnymi, opaczными warunkami bytu?

Z ciężkimi myślami wracam zawsze z kraju, aby już wkrótce myśleć o ponownych odwiedzinach.

– Kogo?

Tam nie ma nikogo z tych, co byli, albo takimi, jakimi byli, kiedy łączył nas wspólny los, nikt tam na mnie nie czeka.

– Po co?

Wiem. Po to, aby być tam, choć trochę. Wszystko inne jest już tylko czekaniem, spokojnym przebywaniem, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, w wygodnej własnej dziupli na skraju lasu.

Dusza oczyszczona z goryczy może bezpiecznie przebywać w samotności

T. Merton